

## Te drzwi

*motto:*

*Zło czerpie siły z mocy dobrego,  
lecz czyś pomyślał czasem tak,  
gdy dumnie w górę zadzieraszą głowę,  
że rozliczenia też przyjdzie czas.  
Gdzieś tam czekają te drzwi. Piotrowe.*

*(Wiesława Bubak „Drzwi Piotrowe”)*

### 1. Mroczna przestrzeń pod świerkiem

Kiedy mężowi mojemu pozostał do zrealizowania już tylko jeden punkt ze spisu jego męskich zadań, chociaż realizował je w odwrotnej kolejności, i kiedy, dzięki pobytowi za granicą, uzyskał część potrzebnych środków, udałam się na upatrzoną wieś celem obejrzenia działki do kupienia i ewentualnego jej zadatkowania.

Brnęliśmy od pociągu ze znajomym, który mi towarzyszył, przez kopne śniegi, zalegające las, aż do gospodarstwa na uboczu, którego właściciel sprzedawał ów kawałek pola, a potem, po załatwieniu sprawy, wracaliśmy na stację, a właściwie przystanek typu: wygwizdów. Był luty, silny mróz, a my okropnie zmarznięci. Do odjazdu pociągu mieliśmy jeszcze dwie godziny, a na wysokim nasypie przystanku kolejowego, położonym tuż przed mostem, nie było żadnej osłony przed zadymką. Znajomy przypomniał sobie o swoim koledze, mającym letni dom w okolicy, a teraz, gdy był już na emeryturze, mieszkającym w nim i w zimie, niewiele więc nadkładając drogi, mogliśmy liczyć na osłonę przed mrozem i śniegiem, a może i szklanek gorącej herbaty. Działka tego znajomego mieściła się na tak zwanej patelni, czyli skupisku małych działeczek na terenie zakupionym kiedyś przez kolej dla swoich pracowników. Przed godziną nawet nie przyszło mi do głowy zapytać o nazwę wsi, w której przed chwilą kupiłam ziemię; pamiętałam tylko nazwę stacji, na

której wysiadłam i zdawało mi się, że to wszystko, czego potrzebuję. Mówię to w tym celu, żebyście zrozumieli, jak byłam naiwna i niedoświadczona, mimo skończonej trzydziestki na karku, dwojga dzieci i paru lat małżeństwa.

Dziś wiem, że człowiek uczy się do śmierci, a każde chwilowe zaniedbanie w poszukiwaniu informacji, na pierwszy rzut oka nawet niepotrzebnych, mści się na nim po wielokroć. I nie tłumaczy mnie to, że wiedza, której nie chciałam, wydawała się zupełnie nieważna wobec tego, ile kosztuje działka, ile dać zadatku, czy starczy mi to, co mam w torebce, czy cena, zaśpiewana przez właściciela, jest korzystna i wreszcie, czy mój mąż, który w naszym małżeństwie do tej pory wszystkie decyzje ważne i średnio ważne podejmował sam, zaaprobuje mój wybór działki i nie skrzyczy za trwonienie ciężko zarobionych przez niego pieniędzy. Czy na przykład nie dojdzie do wniosku, że jest okropnie usytuowana, albo że źle się targowałam. Było jeszcze mnóstwo innych, niemiłych możliwości i po prostu cierpła mi skóra na myśl, że może źle się ze swoich zadań wywiązałam, bo z charakteru byłam perfekcjonistką. Nazwa miejscowości była najmniejszym moim zmartwieniem.

Ostatnie ostrzeżenie losu, opowieść przy szklance herbaty u owego człowieka, puściłam mimo uszu, podniecona jeszcze kupowaniem i targami. No i kołaczącym się w głowie pytaniem: czy przypadkiem nas nie oszukano?

- Jak panu się tu mieszka? – spytałam grzecznościowo, taksując wzrokiem pomieszczenie, będące czymś pośrednim między kuchnią, szopą i sypialnią, z wysokim od sterty pościeli barłogiem, ułożonym na stelażu ze starego tapczanu, wspartym na potężnych, pięciolitrowych puszkach, takich, w jakich za czasów moich rodziców przysyłała żywność UNR-a, organizacja pomagająca krajom wyniszczonym drugą wojną światową. Puszek było trzy, czwartą zastąpiły cegły i wyrównujący poziom, kawałek sękatej deski.

Gospodarz wzruszył ramionami na moje głupie pytanie. Jak bym go słyszała:

- Co będę pani mówił, sama pani zobaczy, jak się pani wybuduje. To znaczy, jak mąż się wybuduje - poprawił.

Strawiłam to; kolega mówił o nim, że jest to *stary ubek*, Tacy, jak on, wiadomo, mieli odchyłki. Jeden w mojej pracy parzył szklankę kawy po turecku, a potem łyki odmierzał menzurką. Jedna menzurka na godzinę. Jak prezes go opieprzył, wypijał w łazience flaszeczkę spirytusu salicylowego. Nazywano go *Salicylowym Katem* i nie chciałam dociekać, dlaczego. Mnie ogarniała litość, ilekroć na niego spojrzałam, ale gdy znalazłam go w łazience martwego, poczułam ulgę. I wyrzuty sumienia, że nigdy za życia nie fundowałam mu uczciwej flaszki. Trzy lata siedział przy biurku przysuniętym do mojego i wiedziałam o nim tylko tyle, ile menzurek odmierzył danego dnia. Szklankę i menzurkę chował w biurku, bo nasz prezes zabronił picia kawy poza przerwą śniadaniową, co podobno wyrabiało złą opinię o urzędnikach. Ten facet był zupełnie inny, ale też miał coś takiego we wzroku, podobnego Salicylowemu Katu, że uwierzyłam znajomemu.

- Trochę miałem zawracania głowy zeszłej nocy – powiedział wreszcie *stary ubek* z niechęcią. – Wieczorem poszedłem na ryby i jak wróciłem, nie chciało mi się rozpaścić ognia, ani nic. Nawet światła nie zapaliłem. Wlazłem od razu w bety i śpię. W nocy coś mnie budzi. Okno mi się ostatnio nie domyka, w jesień te deszcze wypaczyły mi kompletnie wszystko, co było do wypaczenia. Ciągle się zbieram, żeby z tym oknem zrobić porządek i ciągle coś mi przeszkadza.

Gospodarz odwrócił się na chwilę, dokładając drewna pod kuchnię, a mój znajomy szepnął mi na ucho:

- Pilniejszy bimber, zimno, to dużo go sprzedaje. No i wypija też. Jeszcze wtedy na wsi nie było ruskich handlarzy i bimber chodził po 10 złotych, co się opłacało wszystkim. No i wszyscy przeżywali imprezy.

- Budzę się więc, tak coś koło północy – ciągnął - księżyc świecił, jasno było jak cholera, a w oknie widzę człowieka. Zewnętrzne okno już otworzył,

wewnętrzne uchylone, że szpara szeroka na dłoń, a człowiek zwisa na rękach; łapy zaciśnięte na parapecie, zaraz podciągnie się i wlezie. U mnie, widzieliście, podmurówka wysoka z kamienia, sam zbierałem i wózkiem z pola wozilem, jeszcze chłopki dziękowały; nie to co teraz, że za kamień trzeba płacić. Taki byłem jeszcze omulony ze snu, że nie pomyślałem, schwyciłem siekierkę, co nią rąbię patyki na podpałkę; malutka siekierka, taka z kuchni, nie żadne ustrojstwo do porządnego drewna, i łup go tą siekierką po łapach. Człowiek wrzasnął, spadł, a jedna odrąbana dłoń wpadła do środka, na podłogę. Wybudziłem się już zupełnie i dalej za nim, do lasu. Myślę sobie, że zasłabnie z upływu krwi i zamarznie w lesie; człowiek to jest, jak by nie było, i mimo wszystko trzeba go ratować. Wziąłem porządną siekierę, na wypadek, gdyby było ich tam kilku i za śladami krwi idę. W końcu jednak księżyc zaszedł i się pogubiłem. Jak tylko trafiłem na drogę, poszedłem do sołtysa i zadzwoniłem na policję i powiedziałem im, co i jak. Przyjechali, szukali w lesie, ale gdzieś ślad się urwał, może kumple go zabrali?

- Stasiu, ileś biberku wypił? - spytał niedowierzająco mój znajomy.

- Eee tam, prawdę mówię, teraz zima, to wiesz, że czyhają i włamują się do domków, gdzie nikogo nie ma. A ja światła nie paliłem i dym z komina nie szedł, to się pomylili.

- No, to gdzie masz tę uciętą łapę?

- Policja zabrała.

- Rękę zabrali, a ciebie nie aresztowali? To może prawdę mówią, żeś ubowiec?

- Znają mnie wszyscy przecież, zawsze tu jestem. Patrzcie, jeszcze krew na parapecie i pod oknem, gdzie ręka spadła.

Faktycznie, krew była. Może skrobał ryby na parapecie, może ptaka jakiegoś ubił albo i zająca, a może i mówił prawdę. Spieszyliśmy się jednak, podziękowaliśmy za herbatę i poszliśmy. Na odchodnym powiedział nam:

- To zła ziemia, tu zawsze krew się lała i leje nadal. I będzie się lała. Ja przywykłem, ale wy, miastowi, nie wiem czy będziecie spać tu spokojnie. Dlatego ziemia tu taka tania i daje się z gospodarzami łatwo targować.

Jak bym go dziś widziała, chudego pijaczka o nerwowych ruchach, śpiącego z siekierą pod ręką i znieczulającego się bimberkiem. A ryby pewnie głuszy prądem, a nie łapie na wędkę! I nie wiadomo, co ma na sumieniu.

Miał rację. Nigdy w naszym, nowo wybudowanym domu, nie udało mi się spokojnie przespać całej nocy. No ale byłam młoda i wysypiałam się potem, w mieście, gdy wróciliśmy już z weekendu. Kapałam się, splukiwałam brud grzebania się w ziemi i spałam jak zabita. Czasami tylko we śnie wracały do mnie zwierzęta: koty walczące ze sobą o chromą kocicę, węże pożerające żabę, zarzynane świniaki, w ostatnim pragnieniu życia przygniatające gospodynię, pobitą przez gospodarza za brak chyżości, ciężarne kocice wybierające piłę łańcuchową przed sparszywiałym psem. Czysty darwinizm przewijał się w moich snach. Usiłowałam go nie dostrzegać, biegnąc do swojej, bardzo odpowiedzialnej pracy. I do garów zmywanych nocą oraz zadań z matematyki, sprawdzanych przed świtem, zanim mąż się obudzi i zacznie tresować nasze dzieci.

\*\*\*

Wieś swoje miano wzięła od gówna, a ponieważ chcę ukryć jej prawdziwą nazwę, ze względu na licznych przyjaciół, którzy tam nadal mieszkają, lub pochowani są na miejscowym cmentarzu; pozwólcie, że będę nazywać ją: „Smrodliwe”. Składała się z kilku gospodarstw, blisko setki kolejarskich działek na „patelni”, kilku większych domów przybyszów z niedalekiego miasta, szykujących siedziby na starość i wielkiego masywu leśnego, położonego w trójkącie między rzeką, torami i szosą.

Według krążących tu licznych, plotkarskich opowieści, mieszkańcy w czasie wojny przeprowadzali Żydów, uciekających przed Niemcami, na drugą

stronę rzeki, do bolszewików, niejednokrotnie topiąc ich na środku, dla zdobycia majątku w postaci skarbów przechowywanych w woreczku zawieszonym na szyi. Łupy z łodzi zwozili do szopy na jednej z wysp, a potem sprzedawali je na targu. W pokojowych czasach zajmowali się pędzeniem bimbru i rozmaitymi lewymi interesami, jak oszukiwaniem na ilości furmanek przewiezonego żwiru przy budowie drogi i odbudowie mostu albo wyłudzeniem odszkodowań za nieistniejące szkody powodziowe. Bezspornym faktem było i jest pędzenie bimbru, i jego nadużyciu przypisywano nadmierną liczbę wypadków drogowych w okolicy, czasem zupełnie niezrozumiałych z logicznego punktu widzenia. Bo co na przykład sądzić o pewnym gospodarzu, który mroźną nocą wyszedł z chałupy, pracowicie odśnieżył podwórko i dojazd do szopy, w której trzymał swojego malucha, posypał ziemię trocinami i piaskiem, wyprowadził auto i jadąc po oczyszczonej powierzchni umyślnie zaczął uderzać pojazdem w ścianę domu, cofał samochód i ponownie z rozpędu uderzał w ścianę. W ten sposób uszkodził samochód i inne mienie wartości dwóch tysięcy złotych oraz rozbił własną głowę i uszkodził obie rzepki w kolanach, powodując swoją niezdolność do pracy w okresie przekraczającym dziewięć miesięcy. Policja prowadziła oczywiście postępowanie wyjaśniające, ale niczego nie wyjaśniła. Jak zresztą nikt z mieszkańców wsi. Mówiono więc to, co zawsze: - bimber. Zresztą gorsze rzeczy robiono, by uzyskać mizerniutkie renty. Nikt nie wspominał o mgle zalegającej ziemię, takiej dziwacznej mgle na mrozie, zostawiającej rano szadź. Nawet latem, w lipcu na przykład.

Z gospodarzem, od którego kupiliśmy pole, utrzymywaliśmy przyjacielskie kontakty, aż do jego śmierci. Ja bardzo lubiłam jego żonę; słyszałam, że w młodości była piękną kobietą; teraz z jej piękności nic nie zostało, jak to na wsi, a jej córka, moja rówieśnica, traciła resztki urody odziedziczonej po matce. Chmurna, czarnooka piękność, przeobrażała się w tępą zaciętą krowę wskutek złamanego nosa i posiniaczonego ciała, smukłość figury zmieniała się w zdeformowaną kościstość, a ona i jej matka zdawały się godzić

z losem, który przypadł kobietom tej rodziny. Swoje smutki topiły w bimberku i tylko czasem, pod jego wpływem, zdobywały się na odruch protestu. Matka jeszcze czytała książki, pożyczała je ode mnie; powieści o wielkiej miłości, darmowo dołączane do gazet, które wywoziłam na wieś, jak ludzie wywożą nieużywane ciuchy, a nuż się komuś przydadzą, choć już dawno ludzie na wsi mają gust wykluczający przyjmowanie takich prezentów, chyba że na czyściwo do traktora. W gminie, za parę złotych sprzedają ładniejsze kiecki, a że gust mają nieco inny, trafiłam za piątką na łososiowo odymiony obłok szyfonu, drapowany z fantazją i opatrzony metką znanego, światowego projektanta. Wisiał w sklepiku pół roku, przeceniany z miesiąca na miesiąc. Kupiłam go za pięć złotych.

Czasami trafiał się w domu podwójny egzemplarz mądrzejszej książki i ona też ją czytała, tyle, że dłużej. Tak kiedyś wycygała ode mnie „Ulissesa” Joyce`a i zaskoczyła mnie wybuchem, że jest to najpiękniejsza książka, jaką w ogóle w życiu przeczytała, ponieważ jej autor myśli dokładnie tak jak ona, gdy idzie do krów albo na pole. Wszystko ze wszystkim się autorowi miesza, aż ktoś, jakaś siła z góry, pozwala wypowiedzieć zdanie, starczające za tygodnie rozmyślań. I ona może powtarzać je każdego ranka wiedząc, że tak samo myśli ten zagraniczny sławny pisarz jak ona, baba ze Smrodliwego. Powiedziałam jej, że jest na to mądre słowo, którego nie ma w naszych słownikach, dywinacja, moc przepowiadania z inspiracji bogów. Co ciekawe, chyba mnie zrozumiała. Mimo tych świń, złamanego nosa i namiętności do bimbru, skutkującego zgodnym katowaniem delikwentki przez męża i syna. Zawsze podejrzewałam, że była bliżej magii niż inni.

Lubiłam z nią rozmawiać. Miejscowym zwyczajem było to, że kobiety nakrywały stół, a potem z pozoru siedząc przy nim, delikatnie odsuwały się w cień, dając mężom okazję do poruszania ich męskich, poważnych spraw. Pani Zosia też taka była, a ja się dostosowywałam, nawet jeśli przyjęcie odbywało się u nas. Mój mąż i mąż pani Zosi dyskutowali zażarcie o polityce, wyborach

wójta i ustawach dla rolników, popijając wódeczkę; ani ona, ani ja nic nie piłyśmy; ja obawiałam się podejrzanego pochodzenia bimberku; ona udawała, że nie jest pijaczką.

Obchodziliśmy kiedyś imieniny mojego męża. Zadbałam o to, żeby nie było bimberku, tylko flaszką z akcyzą i namówiłam panią Zosię na kieliszek. Rozluźniona wzdychała, że w tym roku, przed świętami, tyle było pogrzebów, że oj! Kiedy opowiedziałam jej, jak odnoszę czasem wrażenie, że nad wsią ciąży jakieś złe fatum, o czym na przykład świadczy ta straszna liczba wypadków drogowych i innych nieszczęść w rodzinach gospodarzy we wsi, i że źle śpię na działce w nocy, powiedziała, że ona jest co do tego przekonana, a co więcej, ma na to dowody. Niestety, panowie dolali ponad miarę wódki do kieliszków, a nastoletni wnuk pani Zosi bardzo spieszył się do kolegów, za nic mając opowiadanie (w tej chwili trzeźwej) babci. Gospodarz więc odpalił swojego malucha, zawadzając o płot sąsiada na zakręcie drogi, (naprawili go następnego dnia, więc nie zdążył się o szkodzie dowiedzieć), a opowiadanie pani Zosi zawisło w chłodnym, listopadowym powietrzu. Już potem nie trafiła mi się następna okazja do rozmowy z panią Zosią; zmarła nagle i niespodziewanie, z zakładką sporządzoną z piwnej etykiety, na ostatnich stronach „Ulissesa”.

Tego wieczora, w czasie czuwania przy zwłokach, opowiadano o wypadku, jaki przydarzył się osiemnastoletniemu siostrzeńcowi męża pani Zosi.

Przyjechał do nich jakiś kuzyn, który zdobył pracę ajenta stacji benzynowej. W tej okolicy to ogromna kariera, nic więc dziwnego, że stojąc przed tak wspaniałą perspektywą życiową, nabył na raty stosowny do swej przyszłej pozycji samochód, bardziej wypasiony niż maluch, którym jeździli rodzice, i pierwszą jazdę odbył w kierunku rodzinnej wsi, pochwalić się sukcesem. Była to sobota i młodzież wybierała się na dyskotekę. Za trzy dni chłopców zabierało wojsko, więc owa dyskoteka była także pożegnaniem z cywilem. Może dlatego owi chłopcy, jeżdżący zazwyczaj na dyskoteki maluchem rodziców, korzystając z faktu, iż starzy popijali bimberek,



podprowadzili kluczyki i zabrali ów samochód na wyprawę. Wypadek nastąpił nad ranem, na trzykilometrowym, prostym odcinku drogi, między Smrodliwym Starym, a Smrodliwym Kolonią. Jest to w ogóle bardzo dziwne miejsce. Jadąc z siedziby gminy, po minięciu nadleśnictwa z blokami dla pracowników, willą nadleśniczego i biurami, oświetlonymi dzień i noc, w Smrodliwym Starym wjeżdża się w podwójny bardzo ostry zakręt nazywany „agrafką”. Stoi tam znak ograniczenia prędkości do 40 kilometrów na godzinę, ale chyba jest to zbyt małe ograniczenie, bowiem, nawet przy tej prędkości, czasem wyrzuca trochę samochód z toru jazdy. Działkowicze (trzeźwi) często zwalniają tam do nakazanych prędkości, chyba, że mają dobre, trzymające się drogi wozy. Nieco napici jadą szybciej i w Smrodliwym starym ów „probierz trzeźwości” pozwala im się zorientować, jak byli bliscy utraty panowania nad kierownicą. Jednak droga tam najczęściej jest pusta i o ile w tym miejscu nikt nie zetknie się z pojazdem jadącym z przeciwnej strony, na ogół nic się nie dzieje. Dlatego, mimo owej „agrafki” w Smrodliwym Starym raczej nie zdarzają się wypadki. Potem następuje ów 3-kilometrowy odcinek prawie prostej, prowadzącej lekko pod górę drogi, na którym następuje większość wypadków. Niezbyt trzeźwy kierowca oddycha z ulgą na myśl, że udało mu się przejechać najgorsze miejsce i ten moment rozluźnienia jest (jak myślę) przyczyną wypadku. Stoi tam wśród pól jedyne drzewo, na którym rozbijają się samochody. Podobnie było i z tymi chłopcami. i z wieloma innymi kierowcami, znanymi mi osobiście i nieznanymi.

W każdym razie, na pierwszy rzut oka nikt nie może zrozumieć, dlaczego właśnie tam dochodzi do wypadków. Oprócz takich „zwyczajnych”, gdzie po prostu kierowca zabija się po pijaku, zostają i te dziwaczne, jak wypadek owego chłopca.

W samochodzie było ich czterech. Podobno – bo nic w Smrodliwym Starym, Nowym ani Kolonii nie jest pewne – prowadził osiemnastoletni siostrzeniec pani Zosi. Trzech twierdziło, że po wypadku chłopiec ten uciekł w szoku na pola i mimo poszukiwań nie udało się go odnaleźć. Policja prowadziła

także przeczesywanie terenu, ale bezskuteczne. Pozostali chłopcy, którym nic się nie stało, po trzech dniach udali się pod jurysdykcję wojskową i do chwili przysięgi, przypadającej, jak wiadomo, po sześciu tygodniach od wcielenia, nie przyjechali do wsi na żadną przepustkę. Nie oni więc to zrobili. Siedemnastolatek, kierujący samochodem, po pięciu dniach doczołgał się do gospodarstwa rodziców, gdzie zmarł, zanim ktoś go zdążył zauważyć. Leżał wciśnięty między starą młockarnię, a budę psa, z psim łańcuchem założonym na szyję i nikogo nie zastanowiło, dlaczego pies biega wolno i nie szczeka. Na wsi opowiadano, że miał także inne rany na szyi, które maskowała psia obroza, jakby kilkakrotnie usiłowano mu podciąć gardło, co raczej nie mogło nastąpić w wypadku samochodowym. Innych obrażeń nie miał. Podobno też miał obtarcia na rękach, jak od sznura. Ale ręce miał wolne i śladu brudu za paznokciami. Gdzie był, kto go przetrzymywał i po co – pozostało tajemnicą. Pies też nie był gospodarski, pewien działkowicz zostawił go na przechowanie idąc do szpitala i już z niego nie wyszedł. Mimo, że nie najmłodszy, służył w gospodarstwie na łańcuchu, ale z powodu wychowania na swobodzie był nieprzewidywalny i nic nie dało się z jego zachowania niczego wywnioskować.

Wypadek był dziwny sam w sobie, ale jeszcze dodatkowo zrobiła się po śmierci chłopca wokół niego niejasna atmosfera. Mówiono o pewnych zdarzeniach, związanych z tą śmiercią, o znakach we śnie dawanych pani Kazi, miejscowej zielarce, która czuła na szyi zęby chłopaka, a ponieważ miała blisko osiemdziesiąt lat, spodziewała się raczej chęci zagryzienia, niż pocałunku. I kiedy zerwała się z paskudnego snu, na jej podwórku stała dziwna rolnicza maszyna – jak ją określiła – i mimo zamkniętej na łańcuch bramy nie słyszała kiedy wjechała. Rano oczywiście jej nie było. Pytałam, czemu nie wyszła w nocy sprawdzić, ale popatrzyła na mnie jak na wariatkę. Kto by w nocy tu wychodził, gdzie samo złe się dzieje! Bywa, że okradną domek, a potem chodzą po rolnikach i szukają, kto pożyczycy traktor dla przewiezienia zdobyczy. Bywa, że ukryją maszynę, jak wtedy, i lepiej nic nie wiedzieć. Pani Kazia na wszelki

wypadek zapisała na kartce jakieś cyfry namalowane na maszynie, niby numery rejestracyjne, ale całkiem inne, nie ruskie ani białoruskie, ani nasze; bała się jednak ujawnić je wezwanym policjantom.

– Tyle zła się tutaj działo – powiedziała im z chytrym błyskiem w oku – i jeszcze nie wymarli wszyscy. Takich znaków nie umiem czytać. – i policjanci musieli się tym zadowolić.

- Trzeba być ostrożnym – zdradziła jednak mi swoją taktykę: - a jakby co, to kartka leży w kredensie, pod puszką z zieleń angielskim, com go kupiła na jarmarku, za pięć złotych całą wielgachną torbę, do końca życia mi starczy do ogórków konserwowych. Pani znajdzie w razie nieszczęścia i zrobi z nią, co będzie uważać.

Którejś zimy, gdy ją połamano, nosiłam jej obiady w kance i nie zapomniała tego do dziś. A może sądziła, że to właśnie mnie przekaże swoje tajemnice czarownicy, tylko wstrzymywała się z tym, dopóki sądziła, że jest zdrowa i sprawna. Byłyśmy tak różne, a jednak łąpałyśmy swoje myśli w lot.

Należy wiedzieć, że mieszkańcy tej wsi pozostają raczej we wrogich stosunkach, jednak zabarwionych dziwną zależnością, splątana z tajoną troskliwością. Odwieczna jest niechęć między Panią Kazią i mężem pani Zosi, (na zmianę gospodarze tych rodzin byli sołtysami wsi) jednak, kiedy do wdowy, Pani Kazi, przyjechało pogotowie, to pani Zosia przysłała do mnie specjalnie poprosić, żeby do niej zajrzeć, bo jej nie wypada, a kiedy pani Zosia zasnęła w lesie pijana, to właśnie wdowa, pani Kazia, ściągnęła jakichś znajomych z furą, żeby odwieźli ją do domu. Tak więc mąż pani Zosi, związany pokrewieństwem zarówno z właścicielem samochodu jak i z jednym z chłopców, nic nie chciał mówić o tym wypadku, zaś gros informacji pochodzi od wdowy, pani Kazi Nie muszę dodawać, że najmilszym zajęciem tych wszystkich ludzi są plotki, jednak z powodu zamkniętego środowiska, daje się śledzić ich przebieg, co samo w sobie jest zajęciem fascynującym; można bowiem korygować rozmaite dochodzące wersje. Nawiasem mówiąc, za to lubię te Smrodliwe; uwielbiam

słuchać miejscowych opowieści, sytuować je wśród rzeczywistości. Czuję się wśród nich jak swoja, uwolniona z tajonych prywatnych emocji, do których nie warto się przyznawać. Nie jestem alkoholiczką, a jednak pani Zosia bliższa mi jest od mojej rodziny, wyniosłych technokratów, bez problemów przeliczających w mig dolary na złotówki i na odwrót. Dla nich jestem niewydarzoną kobietą, która wybrała męża poza swoją sferą, bo nie umiała oprzeć się wezwaniu swojej macicy.

Niedługo po śmierci pani Zosi, która dopadła ją nad kartami Ulissesa, i napoczętym bananem, przyniesionym jej, gdy leżała chora, (bo na wsi nikt sam na takie zbytki sobie nie pozwalał), nieszczęśliwy los dopadł także córkę pani Zosi, Marzenę. Ta ponura i piękna dziewczyna wyszła za mąż za chłopaka z pobliskiego miasta, syna właścicieli piwnego baru, z racji tej uważającego się za kogoś lepszego niż wsiowi teście. Marzena źle żyła z mężem. Stale przywoził do domu kogoś, jakieś ruskie dziewczę z rajstopami podartymi w kroku, z którymi robił rzekomo handlowe interesy, a w rzeczywistości zapewne prowadził tajną agencję. towarzyską. Rodzice męża Marzeny mieli bar w mieście dawniej wojewódzkim, wystrój niby ludowy maskował chałupinę latami wciskającą się w ziemię, tylko dlatego tolerowaną, że trwały zabiegi o uznaniu jej za zabytek. Nowoczesność reprezentowały parasole z napisem „Tyskie”, budzące w przechodniach ducha wyrosłego w kasynach: ten wiatr wywróci ów parasol, czy go oszczędzi!? Ruskie zdziury wygrzewały łożę męża Marzeny, a ich synowie uczyli się, jak znać swoje miejsce i wybierać między codzienną ciężką pracą i popychaniem dziadków, a nadzieją na przyszłość, w postaci ustawienia w życiu. Marzena przyjeżdżała często do matki i obie przy bimbierku pomstowały na chłopów, używając słów wulgarnych, czego przy innej okazji od pani Zosi nie słyszałam. We dwie stanowiły siłę złości, której nikt nie umiał się oprzeć. Zafascynowana nią wsłuchiwałam się kiedyś w ich głosy, marząc o porzuceniu swoich, narzuconych przez rodziców, reguł dobrego wychowania.

Marzena poznała chłopaka, narkomana. Kochał jej synów i zapewne też ją, pod warunkiem, że tolerowali go, a hołubili i kochali go, bo ich nie bił i nie wyzywał. Dawali mu pieniądze na narkotyki, utargowane z podbieranych jaj, pozwalali mu spać, gdy tego chciał i budzić ich, gdy był w dołku. Chłopcy uczyli się od niego gry na gitarze i szacunku dla kobiet, nawet tak brzydnych w ich, i ojca oczach, jak ich matka, Marzena, której imię pochodzące od marzenia, w nikim nie wywoływało już szybszego przepływu krwi. Ich rodzony ojciec szalał z ruskimi gówniarzami, cipami słodkimi jak ciasteczka, w dziurawych majtkach i rajstopach, niezbyt domytymi, ale za to wypachnionymi; kochanek matki uczył, jak pięknym może być życie z dobrym człowiekiem, nawet jak jest nieco zamulony i stale potrzebuje forsy. Świat Marzeny i jej synów stawał się marzeniem; wszystko można było osiągnąć, pod warunkiem, że się tego chce i umie się do tego zabrać. Synowie Marzeny byli pięknymi chłopcami, jeden czarnulek, drugi blondyn, z góry predestynowanymi do zrobienia kariery swoją urodą i nie do końca zdającymi sobie z tego sprawę. Pod wpływem konkubenta matki przestali nawet szcuć psami przechodzących letników, kupujących mleko prosto od krowy, ponieważ konkubent matki uczył ich, że łagodnym postępowaniem więcej się osiągnie, niż brutalnością.

Nie miał racji. Dopadli go pewnego razu, gdy z konkubiną, Marzeną i jej dziećmi udawał się do dzierzawionego przez nich, baru w Smrodliwym Nowym. Kilkoma strzałami w głowę zlikwidowali niesolidnego dłużnika, gówniarzom, czarnulkowi i blondynowi, przepuścili, a gdy Marzena, prowadząca samochód, trafiona inną kulą, wypadła na szosę, nakierowali precyzyjnie swoją beemwicę na jej rękę, przejechali najpierw po jednej, potem po drugiej, aż wreszcie zmiażdżyli samochodem jej prawe kolano. Jedno, lewe, zostawili jej nienaruszone; jak inaczej bowiem miałyby dalej prowadzić bar? I oddać dług konkubenta?

Oczywiście nigdy ich nie odnaleziono, a Marzena, zraniona kulą w głowę, pamiętała tylko, że zbierała tydzień temu opieńki i poślizgnęła się na

zmurszałym pniu. Rodzina nie miała serca wyprowadzać jej z błędu. Chyba spłaciła gangsterów, bo nikt już Marzeny się nie czepiał, a obora rodziców Marzeny opustoszała, zmienił właścicieli także kawałek lasu nad rzeką, gdzie ktoś pobudował sobie gargamela. Żal mi było tego miejsca, zawsze chodziłam tam na maślaki rankiem, gdy wszyscy w domu spali, a bezsenna noc działała na mnie podniecająco, jak garnek kawy. Kiedy jednak pewnego poranka wyskoczyło trzech ochroniarzy z bronią gotową do strzału i stadem zjadliwych psów, moje maślakowe miejsce utraciło swoją atrakcyjność. Potem posesję ogrodzono, a ogrodzenie weszło głęboko w nurt rzeki.

Mąż Marzeny wygrał przetarg na usługi transportowe dla ważnej instytucji miejskiej i miesiąc później zginął bladym świtem wraz z kilkoma notablami, których przewoził. Nikt nie dociekał przyczyn wypadku, a w każdym razie rezultatów dociekań nie ujawnił. Trzeźwy, były mąż Marzeny, patrząc realnie, w trakcie kuracji odchudzającej (jadł tylko pieczone ryby z grilla – dwa dni wcześniej dzielił się ze mną przepisami) ni stąd ni zowąd zjechał na przeciwny pas ruchu i rąbnął w przydrożną budę z grillem. Jacyś świadkowie nieśmiało mamrotali coś o ruskiej ciężarówce, ale jedyna kobieta, ocalona z tego wypadku, właścicielka baru, której jakiś czas temu przeszczepiono serce, pamiętała tylko kartę Tarota, którą zobaczyła w momencie zderzenia z grillem – Papieżycę. Mogła godzinami opowiadać o jej znaczeniu, o różnicach między tarotem Marsylskim a innymi, o historyczności postaci Papieżycy Joanny i w ogóle o znaczeniach kart, w zależności od tego, na której pozycji się znajdują przy zadawaniu pytania, co jednak nic nowego nie wносиło do akt sprawy. Tarot nie dozwolił rozpoznać numeru rejestracyjnego ruskiej ciężarówki, czemu nikt się nie dziwił, bo Papieżyca trzyma na kolanach wprawdzie otwartą księgę, której karty jednak nie są zapisane. A może go w ogóle o to nie pytała?

Teściowie Marzeny zginęli pewnego dnia w pożarze baru i nieoczekiwanym dla nikogo zrzędzeniem losu chłopcy z katowanych gówniarzy stali się spadkobiercami majątku. Poczynali sobie dość rozsądnie i zapewne

dlatego po dziś dzień żyją. Prowadzą bar na krzyżówce, a gospodarstwo po zmarłych dziadkach (rodzicach matki) pozostawili wujowi. Podobno nie piją alkoholu. Ale jeżdżą Suzuki i wynajmują motory letnikom.

Od licznych wypadków nie wolna była też rodzina pani Kazi. Kazia jest miejscową czarownicą - zielarką. W jej osiemdziesięcioletniej, pomarszczonej twarzy, zadziwiają przepiękne, młode oczy, o tak blado zielonych źrenicach, że prawie aż białych. Mogłabym opowiedzieć jej dzieje swojego małżeństwa, ale nie muszę, ona i tak o wszystkim wie. A jeśli nie ona, to w każdym razie jej oczy. Działkowicze nienawidzą pani Kazi. Posprzedawała im ziemie „na umowę” wówczas, gdy ziemi nie wolno było jeszcze sprzedawać, ale kupujący mieli nadzieję, że po kilkunastu latach zasiedzenia staną się legalnymi jej właścicielami. Czekali więc cierpliwie. Aż tu pani Kazia oddała ziemie gminie za rentę i wszystkich naiwniaków, którzy nie zdążyli się pobudować, wywłaszczono. Pani Kazia ma córkę i syna i zapewne w myśl zasady, że cierpią synowie (która jednak nie sprawdziła się w przypadku pani Zosi), wszystkie zgubne skutki z tytułu bycia mieszkańcem wsi przytrafiły się jemu; Edzio ma na imię i jest murarzem.

Kiedyś jeden z sąsiadów znalazł go śpiącego w lesie, koło samochodu i najpierw przyprowadził samochód na swoje podwórko, (żeby nie jechał nim po pijaku), potem zaś wrócił po właściciela pojazdu, który jednak w międzyczasie gdzieś się podział. Potem sąsiad trochę szukał w lesie tego syna Pani Kazi, ale wkrótce zapadła noc, więc zrezygnował i wrócił do domu. Syn pani Kazi trafił jakoś do chałupy, ale następnego dnia musiał iść do pracy, więc wsiadł w autobus i pojechał. Po tygodniu sąsiad, zaniepokojony nieobecnością właściciela samochodu w domu, nie wiedząc, że pracował gdzieś cały tydzień, podjął decyzję, że jeśli nie znajdzie się do poniedziałku, to zawiadomi policję, ale na szczęście znalazł się w sobotę; przechodząc ze stacji obok posesji sąsiada, poznał swój samochód i wszystko dobrze się skończyło, choć trochę popili się z tej radosnej okazji.

Przyczyną stresów pana Edzia i jego matki jest żona, ruda, wulgarna i w ogóle samo zło. Czasami jest tak okropna, że młody nie mogąc z nią wytrzymać, zdaniem matki po prostu musi ją trochę poturbować, a ona, podła zaraza, natychmiast dzwoni po policję, ta zaś zamyka chłopaka na trochę, zamiast zamknąć jego podłą żonę, potem zaś normalną koleją rzeczy chłop musi odreagować tę krzywdę i trochę wypić, potem się godzi z żoną i jadą do baru na pizzę i piwo, potem wypijają jeszcze parę kieliszków i tak dalej i dalej. Także dlatego żona jest taka wredna, że gdy młodego syna pani Kazi spotyka jakieś nieszczęście, to ona nie potrafi okazać mu ani odrobiny współczucia. Tak było i ostatnim razem.

Nie każdy ma takie niebywałe szczęście, żeby jednego dnia rozwalić po kolei cudze dwa samochody, a na koniec swój trzeci i wyjść z tego prawie bez szwanku. Tak więc syn pani Kazi jest dzieckiem szczęścia.

Swój rajd zaczął w Smrodliwym w niedzielę, w porze mszy. Jadąc przez wieś tak wystraszył swoimi manewrami pewną młodą działkowiczkę z dzieckiem, że zamiast jechać prosto, jak pan Bóg przykazał, wjechała do rowu i doszczętnie rozbiła swój samochód. Na szczęście jej i dziecku nic się nie stało, ale miała nauczkę, że nie powinna z mszy wychodzić wcześniej niż inni. Na drodze byłoby więcej samochodów i może komu innemu to nieszczęście by się przytrafiło, a może i syn pani Kazi o tej porze dojeżdżałby już do gminy. Nie zrażony wypadkiem, pan Edzio pojechał dalej i tam zderzył się czołowo z innym pijanym kierowcą, co zaowocowało uszkodzeniem tamtego samochodu i jego pasażerów. Po czym jechał dalej i gdy stało się już oczywiste, że wyrżnie w drzewo, Boska Opatrzność otworzyła drzwi (wcześniej sprawiając, że nie miał zapiętych pasów) i wyrzuciła go chwilę przed zderzeniem na miękkie pole. Tu dopadła go policja, ścigająca zresztą tamtego pirata (a nie tego) i wezwała pogotowie, które odwiozło go do szpitala. Młody syn pani Kazi wyszedł z tego wypadku prawie bez szwanku, jeśli nie liczyć złamanej i odrutowanej szczęki.



Jego podła żona nie przyjechała zabrać go ze szpitala, a co więcej powiedziała, że za próg go nie wpuści, i dopiero matka wynajęła samochód, który przywiózł Edzia ze szpitala do jej domu. Bardzo przeżywał ten wypadek, zwłaszcza, że czekały go w związku z nim aż dwie sprawy sądowe, a w dodatku szczeka go tak bolała, że mógł tylko żywić się tylko wciągany przez rurkę piwem (mógłby też mlekiem, ale go nie lubił).

Pewnego dnia jechaliśmy z mężem późną nocą na działkę. Jak zawsze, gdy wjeżdżamy z szosy na drogę wiodącą przez las, wyciszamy się i nasze emocje opadają. Droga nie jest już publiczna, tylko prywatna, otwieram więc mężowi puszkę piwa i powoli jadąc, obserwuję zające, stawiające słupka przed światłami samochodu, jeże, przetuptujące nasz szlak i rozmawiamy o rzeczach, które w ciągu tygodnia, nabuzowani naszą pracą i naszą ważnością, zazwyczaj pomijamy. Tylko w tych chwilach mój mąż przestaje być panem i władcą, a staje się przyjacielem. Zostawiamy na boku politykę i chwalimy się (mimo wszystko) sukcesami w wychowaniu chłopców. Mnie, po wielu godzinach od posiłku, mocne piwo szumi w głowie, sprawia, że świat, jak w opowieściach pani Zosi po biberku i lekturze Ulissesa, staje się bardziej zrozumiały i oczywisty, pełny magicznych znaczeń i odnośników. Wyznacznikiem są słupki zajęcy w światłach przed nami i przekonanie, że my, w przeciwieństwie do nich, opanowaliśmy nasz świat i nasze problemy i na tym polega nasza wyższość. Nawet po mocnym łomżyńskim eksportowym piwku.

Ale wracam do owego dnia, gdy po północy zjechaliśmy z gminnej szosy w leśną drogę najeżoną słupkami zajęcy.

Na środku drogi, z otwartymi drzwiami stał samochód, wiśniowy polonez syna pani Kazi. Obok leżał człowiek nie dający oznak życia. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w zachmurzone niebo, po którym przesuwały się kohorty zimnych obłoków, a smukłe pasma chłodu spływały ku ziemi, kryjąc się w cieniach pod świerkami. Zmarznięte jagody jałowca zdawały się trzaskać pod wpływem przymrozku, a stado zajęcy pełniło swoją straż przy zwłokach.

Zatrzymaliśmy się, nie wiedząc, co robić. Las wysokich sosen szumiał głośniejszy niż wszystkie miejskie hałasy, a nas ogarnął lęk, jaki ogarnia wszystkich w obliczu nieznanego. Spojrzałam w mroczną przestrzeń pod świerkiem, za szpicem zajęty i dostrzegłam tam nieokreślony ruch. Zmartwiałam. Nie jestem pewna czy ośmielę się o tym komukolwiek kiedykolwiek opowiedzieć. Może tylko wspomnę, że w pewnej powieści SF ludzie żyjący we wspólnocie na skraju lasu, odczuwali dziki lęk przed zbliżeniem się doń, bowiem przerwaniu ulegała więź łącząca mieszkańców wioski. Dopiero w połowie powieści zorientowałam się, że straszliwy dźwięk, który słyszeli w pewne dni, był po prostu szumem tego lasu. Tak jak i mój straszliwy obraz w mrocznej przestrzeni pod świerkiem... Wolałabym pisać o ptaszkach i motylach, o świeżym zapachu wiosny. Ale... Eee tam, zostawmy to!

Wówczas nieboszczyk wstał, wsiadł do swojego poloneza nie oglądając się na nic i odjechał lekkim zygakiem, niewielkim, takim, na jaki pozwalały mu wyryte na leśnym dukcie koleiny.

## **2. Dziewczyna, która nazwała siebie Ebola**

Posiadanie własnej działki ma liczne wady i zalety. Czasami są one na pierwszy rzut oka nierozpoznawalne i trudno od razu wiedzieć: cieszyć się czymś, czy martwić. Do takich zjawisk należy pojawianie się gości. Jedni są mili, inni nie, ale na ogół człowiek stara się sterować zaproszeniami, aby wizyt tych niemiłych osób uniknąć, albo przynajmniej je ograniczyć. Nie zawsze to się jednak udaje. Tak się jakoś dziwnie składało, że ilekroć zapraszałam kogoś dlatego, że powinnam, lub dlatego, że życzył sobie tego mój mąż, bieg wypadków wyrywał się spod mojej kontroli, i jak owa kobieta, prowadząca grillowy bar, już po wszystkim, widziała siebie jako kartę Tarota; ja może nie Papieżycę, ale na pewno Głupca.

Tym razem nie mogłam mieć pretensji do mojego męża, sama sobie byłam winna. Moja koleżanka z pracy, zwana Dusią, znalazła się w trudnym położeniu. Zostawił ją mąż, pojawiły się jednocześnie jakieś kłopoty z jej szesnastoletnią córką, niezbyt przez nią zdefiniowane, poza faktem, że nie zdała do następnej klasy, a w dodatku ciężko rozchorowała się matka Dusi i wymagała całodobowej pomocy. Koleżanka została bez grosza przy duszy, z matką na wpół sparaliżowaną na głowie, no i córką, która, jak to zwykle dzieci, oczekiwała, że rodzice zapewnią jej wakacje. Na razie wzięła urlop bieżący i zaległy, ale sen z oczu spędzała jej troska o córkę. Zaofiarowałam jej swoją pomoc w postaci udostępnienia dziewczynce działki w wakacje. Lipiec był gorący, tak więc jej pobyt mógł być udany. Po okolicy przewalały się całe tabuny młodych ludzi z namiotami i plecakami, lub mieszkających w domach rodziców i znajomych, była więc szansa na poznanie miłego towarzystwa. Miała przyjechać z namiotem, bo nie chciała mieszkać z nami w niewykończonym jeszcze domu, co zresztą było mi obojętne, ponieważ udało nam się z mężem wyrwać od swoich pracodawców ledwie parę dni urlopu. Dla mnie w tym okresie było zaś pożądane, żeby na działce ktoś przebywał, obecnością swoją odstraszać ewentualnych włamywaczy. Tak więc korzyści z pobytu córki mojej koleżanki miały być obustronne.

Umówiłam się z Dusią, że córka jej przyjedzie pewnego czwartku, określonym pociągiem, na który mieliśmy po nią wyjechać samochodem, jako, że miała wieźć duży bagaż, a od stacji był spory kawałek przez las, płataniną duktów, w której obcy łatwo by się nie rozeznał. Byliśmy tam oczywiście, ale dziewczyna nie przyjechała. Jola – bo tak miała mieć na imię – ani jej matka nie miała szansy uprzedzić nas o jakiegokolwiek zmianie planów, bowiem we wsi, położonej w puszczy, tuż przy granicy, nie było telefonów, nawet dziś nie obejmuje jej zasięgiem żaden operator komórkowy. Uznaliśmy, że pewnie babcia dziewczynki poczuła się gorzej i dlatego wnuczka została w domu. Miałam nadzieję dowiedzieć się, co się stało, dopiero po powrocie do pracy, w

poniedziałek. Tymczasem wyrzuciłam całą sprawę z głowy. Nie przyjechała, to nie przyjechała. Nawet jej nie znałam.

Nadeszła sobota. Nasz sąsiad wyprawiał swoje imieniny, huczne, jak to na działkach. Oba nasze domy były jeszcze niewykończone, choć już w nich pomieszkiwaliśmy, ale pogoda była przepiękna, ciepło i lekko wietrznie, co przeganiało wszelkie meszki i komary, można więc było organizować imprezę na powietrzu. Powynosiliśmy z domów i działkowych prowizorycznych chałupek wszystkie stoły i krzesła, nakryłyśmy je z sąsiadkami w braku obrusów prześcieradłami i zajęłyśmy się najbardziej żmudną pracą gospodyń, krojeniem sałatek. Ze wszystkim trzeba było zdążyć w dzień, żeby wieczorem oddać się pełnemu relaksowi.

Na drodze przed naszym domem zatrzymał się dychawiczny maluch, a ponieważ rzadko ktokolwiek tędy przejeżdżał, wybiegłam zobaczyć, kto to i czego chce. Koło malucha stała starsza, może sześćdziesięcioletnia kobieta, patrząca na mnie nieprzyjaźnie i taksująco. Z tylnych siedzeń gramoliła się para: wysoka dziewczyna z jasnymi, tlenionymi włosami i szerokimi, wydętymi wargami, umalowanymi jaskrawą szminką. Te włosy i wargi były jakby jej wizytówką; resztę szczegółów twarzy i figury zauważało się dopiero później. Za dziewczyną wyłonił się chudy chłopak, wyglądający na młodszego niż dziewczyna i wyciągnął plecaki, namiot, śpiwory oraz worek pełen konserw. No tak, zjawiała się Jola.

Pierwsza zaatakowała starsza pani – właścicielka samochodu. Wyciągnęła do mnie rękę i przedstawiła się imieniem, nazwiskiem i numerem działki tonem, który od pierwszego słowa sygnalizował jakąś pretensję.. Uścisnęłam jej dłoń, bąknęłam swoje nazwisko, pomijając numer działki. Zaczynałam być wściekła, choć jeszcze nie dociekałam, co mi się w tym wszystkim nie podoba. Stałam więc udając, że nie wiem, o co chodzi i oczekuję wyjaśnień. To rozzłościło ją jeszcze bardziej.

- Spodziewałabym się miłszego powitania! W końcu pani synowa, nawet z bratem, miała taki kawał targać swoje rzeczy ze stacji, mimo, że jest w ciąży, bo nie chciało się pani wyjechać po nią na stację? A samochód, jak widzę, państwo macie i sobie spokojnie stoi! Rozumiem, że można być złą na syna i synową, że pospieszyli się ze ślubem, ale do tego stopnia im robić na złość! Najpierw zaprosić, a potem zlekceważyć?

Zgłupiałam kompletnie i wydukałam jak idiotka:

- Miała przyjechać w czwartek... - Nie byłam pewna, czy od razu zaprzeczyć tym bzdurom, które gówniara jej naopowiadała, czy odpuścić sobie. Stała mi przed oczami moja koleżanka, skołowana i przerażona zdrowiem matki, problemami z córką – nie, nie mogę ich wygonić od razu, choć mnie korciło. Ale o tym wszystkim nie musiała wiedzieć ta starsza pani, która wsadziła ich z dobroci serca do swojego ciasnego rzęcha i, jak znam życie, objechała wszystkie działki w okolicy szukając nas po nazwisku, które znało tylko niewiele osób.

- A jak masz na imię ty moja miła, świeżo odkryta synowo? – spytałam z przekąsem ( moi synowie wszak mieli dopiero siedem i jedenaście lat i perspektywa ich żeniaczki była mi zupełnie do tej pory obca, ale te fakty pominęłam; po co wtajemniczać w nie obcą kobietę?).

- Nazywam się Ebola, to znaczy, teściowo, podobno nazywasz mnie Ebola – zaszcebiotała w odpowiedzi miło dziewczyna – to tak ładnie brzmi, podoba mi się to imię.

- Jestem felczerem – odezwała się ni stąd ni zowąd kobieta – i prowadzę tutaj praktykę, bo na razie ośrodek nie ma lekarza.

Nie wiem, czy chciała mi dać do zrozumienia, że wie, co znaczy słowo „ebola”, czy przestrzec przed korzystaniem z jej pomocy w razie kłopotów zdrowotnych. Chudy chłopak stał nie odzywając się i dopiero pisząc to, uświadomiłam sobie, że ani razu w mojej obecności nie odezwał się do nikogo. Po prostu tylko był.

- Mam nadzieję – ciągnęła kobieta – że zmieni pani nieco stosunek do, bądź co bądź, swojej rodziny. Jadąc tutaj szukaliśmy pani działki, bo synowa nie znała jej położenia i chyba odwiedziliśmy wszystkich działkowiczów pytając o państwa nazwisko – roześmiała się – i teraz chyba już większość państwa zna. Ja też o was nie zapomnę.

Wyraźna groźba w jej głosie prawie rozśmieszyła mnie. Nie miałam zamiaru przyjaźnić się z działkowiczami, a najbliżsi sąsiedzi znali doskonale mnie i moją rodzinę. Resztę mam w nosie. Swoją szosą dziewczucha ma tupet!

Tego lata mrówki wchodziły oknami do domów, mrowiły się na każdym skrawku działki, nie dając się wytępić. Wszędzie zostawiały kopczyki piasku. Było ich wiele gatunków, rozmiarów, ale wszystkie były zajadłe i niezmordowane. Nie dawały się niczym wystraszyć ani przegonić, żadnymi proszkami czy sprejami. Pocieszałam się tylko, że poprzedniego lata walczyłam z szerszeniami, a jeszcze poprzedniego, z osami, dopóki nie odnalazłam ich gniazda na skraju lasu i nie załatwiłam dwoma wiadrami wrzątku. Na mrówki też w wolnej chwili znalazłabym sposób, ale nie spieszyłam się. Pojawił się pilniejszy problem.

- Czy zdajesz sobie sprawę – powiedziałam, gdy samochód felczerki zniknął na zakręcie – że postąpiłaś nieuczciwie i zachowałaś się niewłaściwie? -Nie chciałam bawić się w szczegóły i wypominać jej zaproszenia, ale nie chciałam też zostawić sprawy, jakby jej nie było. Co do *Eboli*, nie byłam pewna, czy jest wynikiem jej złośliwości, czy głupoty. Wszystkie wątpliwości podobno tłumaczy się na korzyść oskarżonego. Odpuść sobie – powtarzałam w duchu jak mantrę. - Robisz to dla Dusi, a nie dla tej gówniary.

- Eee tam, musiałam coś wymyślić, bo nie chciała nas zabrać. I co bym zrobiła z tymi tobołami, a tylko ta jedna krowa z tym rżęchem się trafiła. Takie bierze się tylko na litość i jeszcze na to, że mogą coś wytknąć innemu człowiekowi, czują się wtedy lepsze. Trzeba je na kogoś napuścić, wówczas żyją!

- Nie zapraszałam twojego kolegi czy brata, w każdym razie mama nic o nim nie wspominała. – zmieniałam temat.

- To chyba przez niedopatrzenie. Mama wie, że on nigdzie się beze mnie nie rusza. A pewnie przez babcię nie ma głowy do niczego.

- Ale to nieładnie kogoś wykorzystać, a potem z niego drwić – naszła mnie chęć moralizowania. - My tu żyjemy ze sobą na co dzień i nasze postępowanie, to jak kręgi w kałuży, gdy ktoś rzuci kamień, wydaje się mało ważne, ale pamięta się latami. – Wygłosiłam swoje exsponse aby dodać sobie w jej oczach ważności.

O ciężę już nie pytałam. Złość zaczęła mi mijać. Co mnie to zresztą obchodzi, nie jestem od pilnowania moralności cudzych córek. Nie zrozumiała mojej przemowy, to kit jej w oko! W niedzielę wieczorem wyjeżdżamy, a oni niech się rządzą po swojemu. Nie moja sprawa.

- Chodźcie, przedstawię was mężowi i sąsiadom. Dzisiaj imieniny sąsiada, więc mamy sporo pracy.

Na trawniku sąsiadki kończyły już nakrywanie stołu. Ten niewielki skrawek trawy zasiewaliśmy w ubiegłym roku trzykrotnie, aż wreszcie trawa przyjęła się na tej jałowej ziemi. Omijaliśmy wszyscy ją starannie, żeby nie podeptać i pozwolić się rozkrzewić wątłym źdźbłom. Po raz pierwszy postawiliśmy tu stół i krzesła, ale z powodów starannie przemyślanych. Przed domem widniał głęboki wykop, z którego czerpaliśmy glinę i piasek do budowy. Potem wykop jeszcze powiększyliśmy i w przyszłym miesiącu miał powstać tam wymarzony basen. Stół i krzesła ustawione w jakimkolwiek innym miejscu mogły powodować niebezpieczeństwo. Po ciemku łatwo byłoby wpaść do wykopu, zwłaszcza gdyby panowie zbyt dużo wypili, co na działkach raczej było normą. Trzeba było więc ustawić stoły tak, aby trasa do domu i do sławojki usytuowanej w kącie działki, a także do domów sąsiadów, była możliwie bezkolizyjna i żeby zapewnić większe bezpieczeństwo gościom. W miejsce nie ochraniane wałem wydobytej ziemi, gdzie mógłby ktoś wpaść do dołu,

ustawiłam pryzmę cegieł, to znaczy przeniosłam ją z innego miejsca. Nie była to duża robota, ale gówniarze mogliby mi przy niej pomóc, ale nie zająknęli się, a ja nie chciałam ich tego, pierwszego dnia, prosić o pomoc, żeby nie pomyśleli sobie, że tak naprawdę zaprosiłam Jolę do pracy, a nie czysto bezinteresownie.

Tymczasem młodzi zaczęli rozbijać swój namiot, tak że prawie dotykał do ustawianego i już zastawionego stołu. Poprosiłam więc ich, żeby znaleźli inne miejsce, wskazałam im nawet kilka, ale upierali się, że tu im będzie najlepiej. Próbowałam tłumaczyć, że będą przeszkadzać gościom przy stole (głównie chodziło o gospodynię i mnie, ponieważ jej pomagałam we wszystkim) i nosząc gorące potrawy z domu będziemy musieli chodzić po wertepach, a nie po chodniczku, i w dodatku nadkładać drogi. No i trawnik jest jeszcze wąły, musi się wzmocnić, trawa pod namiotem zginie. Ale panowie, którzy już, gdzieś poza widokiem, napoczęli buteleczkę, zaprotestowali. Żartobliwie zaczęli namawiać młodych, żeby nie przejmowali się tym, co mówię i rozbili namiot właśnie w tym miejscu, a gdy zapalą w środku lampkę, to biesiadnicy będą mieli wspaniałe widowisko. Docinki były coraz bardziej pieprzne, ale Jola (czy Eboła) czuła się z nimi jak ryba w wodzie. Namówiła solenizanta, żeby otworzył dla niej butelkę szampana, ponieważ ona wódki nie może pić i zrobił to mimo złości żony, która przeznaczyła szampana na koniec uroczystości. Eboła swojemu towarzyszowi nie dała żadnego alkoholu, nawet szampana, ponieważ, jak powiedziała, musi być trzeźwy i nie robić głupstw i być do dyspozycji, gdy go będzie potrzebowała.

Cały plan wieczoru zaczął się chwiać. Pięknie zastawiony stół oraz troskliwie krojone i zdobione sałatki nie budziły niczyjego zainteresowania. Prezentami, przygotowanymi dla solenizanta, nikt się nie zajmował, nawet ich nie odpakowano. Panowie otoczyli wianuszkami Ebole, która postanowiła umalować się na przyjęcie i wyciągnęła z namiotu kosmetyczkę. Z kosmetyczki wysypały się prezerwatywy i rozpoczęła się dyskusja nad sposobem ich używania.



Siedziałam z boku, na schodkach, i obserwowałam widowisko. Bądź co bądź, to była jakaś uroczystość i nie powinnam nikomu zatruwać dobrej zabawy swoim złym humorem. Patrzyłam więc spokojnie na to, jak mój mąż zaczyna grać pierwsze skrzypce w stadzie tokujących samców, jak zjada rozmaite kęsy podawane mu do ust przez Ebole, jak panowie bez umiaru piją i piją. W końcu uświadomiłam sobie, że wypili już znacznie więcej, niż sąsiadka przygotowała na imprezę i poszłam do kobiet, siedzących z drugiej strony stołów. Przywitały mnie pretensją, że mój mąż przynosi stale wódkę, a ja nad tym nie mam kontroli. Olśniło mnie. Pobiełam do piwnicy, gdzie trzymałam butelkę zeszłorocznej nalewki na aronii i butelkę spirytusu do nalewki na malinach. Butelka spirytusu stała nieco z tyłu, za flaszkami octu, i jak na razie była bezpieczna. Zniknęła flaszka taniej wódki, także przeznaczonej na malinową nalewkę (pierwszy nalew) i dwie flaszki aroniówki. Więc dlatego mój mąż tak często biegał w stronę piwnicy! Nie w krzaczki, okalające wejście do niej, jak sądziłam! Popatrzyłam jeszcze na półkę, gdzie trzymałam butelki miejscowego, wspaniałego piwa. Powinno było być ich przynajmniej sześć, a nie było żadnej! Wściekłam się. Co ja teraz będę piła? Chciałam być trzeźwa i sprawna cały wieczór, ale i chciałam się rozluźnić, sączyłam więc piwo z dużego kieliszka. Właśnie miałam wziąć następne, z chłodnej piwnicy, orzeźwiające w tę upalną i trudną noc, i musiałam obejść się ze smakiem, bo pijakom nie wystarczyło to, co sąsiadka postawiła na stole! Nie było jednak czasu zastanawiać się nad stratami, trzeba było ratować pozostałości.

Zapakowałam do wiklinowego koszyka wszystkie pozostałe flaszki aroniówki i flaszkę spirytusu i wyniosłam z piwnicy. Mój wzrok omiół okolicę w poszukiwaniu schowka i zatrzymał się na sztapli cegieł, niedawno przestawionych. Rozejrzałam się, nikt na mnie nie patrzył, przesunęłam więc kilka z nich w inne miejsce i w powstałym w ten sposób schowku, umieściłam flaszki. Nikt się nie domyśli, to było, moim zdaniem, za bardzo niespodziewane miejsce. Dumna z siebie podeszłam do sąsiadek, nadal trzymających się na

uboczu, oznajmić im, że alkohol został zabezpieczony. Ale nie słuchały mnie. Patrzyły na towarzystwo, które zamiast przy stole, rozsiadło się na trawniku przed namiotem Eboli i jej chłopaka, wpatrzone w dziewczynę, jak sroki w gnat. Podeszłam bliżej: Ebola demonstrowała na pieczonej kiełbasce zakładanie prezerwatywy, a mój durny mąż aż ślinił się z przejęcia, ponieważ robiła to z prawdziwym talentem i zapamiętaniem, jakby kręcono porno film. Coś takiego! On! Ten, który oświadczył mi kiedyś, że jeśli nie chcę mieć więcej dzieci, to sama się mam o to martwić, bo on nie ma zamiaru niczego stosować, a zwłaszcza prezerwatywy! To takie obrzydliwe – mówił. Wszystko było dla niego obrzydliwe, różne tabletki, globulki, spirale i w ogóle. Cud, że miałam tylko dwoje dzieci!

Zgarnęłam sąsiadki i poszłyśmy do jednej z nich na kawę. Moje dzieci były na obozie, ale ich małe, przebywające z rodzicami na działce, spały spokojnie. Nie przeszkadzał im powtarzany w kółko na cały regulator stary przebój „Czy te oczy mogą kłamać”. Każdy chłop, który po pijaku zerkał na babę, wyśpiewywał kiedyś jej ten ograny motyw. Takie były czasy. A teraz zebrało się im, tym sierotom po latach przełomu, na wspomnienia! Sąsiadki nie wytrzymały jednak długo przy kawie, ciągnęło je z powrotem zobaczyć, co porabiają mężowie. Moja najbliższa koleżanka i działkowa sąsiadka, Ewa, powiedziała tylko:

- Myślałam, że w tym roku najgorsze są mrówki.

Wzruszyłam ramionami: - Jola kazała się nazywać Ebola, a to chyba straszliwa zaraza. Tak czytałam.

- Nie ugryzie, a krew wytoczy.

- Pomyliło ci się, to wampir. Opuściła twojemu, możesz być spokojna. Teraz to mój problem.

- Nieważne, kto, co i komu. – ciągnęła Ewa. - Osy już przeżyłyśmy; pamiętasz jak wieźli cię do szpitala na sygnale, po tych wertepach, i wyżyłaś. Szerszeniom też dałyśmy radę. Myszy wytrułyśmy. Z kretami da się współżyć.

Na mrówki też znajdziemy sposób. I na nią. Ebola nie jest miejscowa, tylko przyjezdna, z innego ekosystemu; sama się wykończy. Nie pamiętasz, co pisałaś na magisterce? Razem studiowałyśmy zaocznie i niektórymi przykładami z podręcznika, posługiwaliśmy się w kuchni czy przy sprzątanii. Teoria niepewności i ryzyka czekała, aż zastosujemy ją w praktyce, a byliśmy na to gotowe.

- I pomyśleć, że ma taką miłą matkę! – jej optymizm, teoretycznie rzecz biorąc, był uzasadniony, bo Ebola przestała się zajmować jej mężem i swoją uwagę skierowała na mojego.

- Co też ona musi z nią przeżywać! – uzalałam się nad Dusią, do której obecnie nie żywiłam już tak bezwzględnie przyjaznych uczuć.

- Pewnie jej chłop miał bachora dosyć i poszukał miłej, niekonfliktowej, posłusznej dupy...I bez chorej mamy. I zboczonej córki.

Nie chciało mi się ciągnąć tej dyskusji, więc wyszliśmy na powietrze. Przy stole było pusto, panowie gdzieś porozłazili się po krzakach. Przed sztapłą cegieł klęczał mój mąż, a Ebola, trzymając flaszkę nalewki, bawiła się z nim jak z pieskiem:

- Proś pana, służ panu, złóż ładnie łapki, to dostaniesz. Poliz pani kolanko, to dam ci się napić.

Mój mąż spełniał gorliwie polecenia, a Ebola nagradzała go łykami mojej nalewki. Przebrała się w przezroczystą koszulkę nocną i zapewne dla pijanego mężczyzny musiała być wręcz boginią. Nic jej nie groziło, wszak to ona wydzielala nektar. Z oddali przyglądał się jej chłopak. Ten, co miał być trzeźwy w razie potrzeby.

Podeszłam do sztapli cegieł i zabrałam resztę butelek. Wyjęłam też flaszkę z rąk Eboli. Przez chwilę miałam ochotę rąbnąć ją przez łeb cegłą, ale nie zrobiłam tego, byłam bowiem trzeźwa i w określony sposób wychowana przez rodziców. Wychowanie to wykluczało przemoc, której moi rodzice aż nadto zaznali na wschodzie, gdzie mordowano całe wioski niewinnych

dziewczyn i chłopców nie wiadomo dlaczego. Niestety, moja mama nie nauczyła mnie, co robić z takimi siedemnastoletnimi zdzirami; sama też, zamiast rąbnąć taką przez łeb, dostała zawału i umarła, gdy wróciwszy wcześniej z wakacji, zastała na naszym tarasie, opalającą się nago, najnowszą miłość mego ojca. A byłam wówczas jeszcze zbyt młoda i dziecinna, żeby sama wiedzieć, co w takiej sytuacji zrobić, nie miałam pojęcia jak postąpić, żeby cały ból wciągnąć nie do swojego wnętrza, co wynikało z moich wrodzonych predyspozycji, tylko obdarzyć nim osobę winną. Nie ugryźć, a krew wypić – słowami mojej działkowej sąsiadki. Dla mnie ojciec, to była odrzucona dziecinna miłość, i taką została. Taki kod sobie wdrukowałam, a rozgryzłam go dopiero wówczas, gdy seks przestał mieć dla mnie najważniejsze znaczenie.

Wsadziłam flaszki do siatki i wyniosłam do sąsiadki. Mąż grzecznie uwalił się do łóżka, zdjęłam mu tylko klapki i przyrzuciłam kocem. Usiadłam potem na miedzy podkulając kolana pod brodę. Nie bardzo pamiętam, co robiłam, ale rano miałam nogi i ręce pogryzione do krwi.

### **3. Szpaler słupkujących zajęcy**

Z zamyślenia wyrwał mnie klakson samochodu. Nasz sąsiad, z ostatniej działki w szeregu, pan Kajetan, zwany Kajem, nie uczestniczący w imprezie z powodu robotników, z którymi budował wymyślny kominek, z platformą do spania zawieszoną w połowie jego wysokości, oraz dwa przytulone doń szpetne piece, ponieważ nie do końca ufał własnym koncepcjom ogrzania wielkiego, jak stodoła domu, zapytał, czy może coś potrzebuję z gminy, bo on wiezie pracowników do knajpy na kolację, więc może mi coś przywieźć. Poprosiłam go o piwo, ale powiedział, że trzeba dać naczynie, bo w knajpie mają piwo tylko z beczki, a inne sklepy już pozamykane. Miał rację, była jedenasta wieczorem. Nagle poczułam, jak bardzo chce mi się piwa. Tylko piwo może zmyć ze mnie ten wstrętny smak, wywołany widokiem Eboli liżącej prezerwatywę na

kiełbasce, tylko piwo może pomóc mojemu skołatanemu sercu, mojemu zniechęceniu do wszystkiego, mojemu bólowi. Pomóc zwinąć się w kłębek, gdziekolwiek, daleko od ludzi, wcisnąć pod brodę z całej siły dłonie, podgięte do spodu, jak łapki kreta, odepchnąć od siebie wszystko, wystawiając bezpiecznie na świat zewnętrzny mocną kość, chroniącą delikatne palce i nie być, nie myśleć. Czasem pociągnąć łyk piwa, poczuć bezpieczeństwo i błogość i nie obudzić się. Tylko piwo może mnie uratować! Tylko ono da mi siłę i spojrzenie spokojne, pozbawione emocji. Tylko piwo... Zerwałam się z miedzy tak gwałtownie, że długa spódnica, mająca dodać smukłości mojej sylwetce, ociążałej po urodzeniu dwojga dzieci, zaplątała się między nogi, ale złapałam równowagę i pobiegłam do kuchni. W przelocie złapałam portmonetkę i trzylitrowy słoje po ogórkach, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Kiedy wróciłam do samochodu i podałam słoje sąsiadowi, poradził:

- Wsadź ten słoje do koszyka, albo co, może lepiej dwa słoje, wówczas się nie przewrócą. Ale najlepiej, żebyś pojechała z nami, przytrzymasz słoje, a w knajpie wcześniej się napijesz piwa. Po co wozić, jak można napić się na miejscu? Tylko muszę cię uprzedzić, jestem po wódce, ale będę jechał ostrożnie; tu nie ma ruchu, wszystko duktami, tylko mały kawałek szosą, na agrafce, ale będę uważał. Zwłaszcza, że będziesz z nami, jedna ostrożna i trzeźwa kobieta potrzebna jest w takiej chwili. Będę jechał wolniutko, powiesz: stań, to stanę. Ale na pewno nikogo po drodze nie spotkamy. Jakby zresztą co, to będę się ciebie słuchał.

Lubiłam sąsiada. Miał już drugą żonę i drugie dziecko, wyglądało, że był o wiele bardziej stabilny, niż mężowie moich innych sąsiadek, łącznie z moim. Poukładał sobie życie, nikomu nie musiał imponować ani nikim rządzić, traktował mnie jak miłą znajomą, nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie zahaczył o moje życie osobiste. Teraz także o nic nie pytał, chociaż przecież musiał się zorientować, że jestem pokawałkowana i rozklejona. W światłach samochodu moje pogryzione kolana nie dawały się ukryć, skrzepła krew na nich

świeciła czernią i blaskiem (a może mi się tylko tak wydawało). Po prostu zaprosił mnie na piwo, gdy piwa tego nade wszystko potrzebowałam.

Radosne oczekiwanie na chłodny smak piwa pobudziło mnie, ostry zakręt przy wjeździe z działek do lasu podniecił, a uczucia, jakie ta cała Ebola z moim mężem budzili we mnie, wyparowywały prawie namacalnymi smugami ulgi. Robotnicy z tyłu terenówki sąsiada podśpiewywali sobie, a ja, z nadzieją, że mój głos zginie w ich hałasie, powtarzałam cichutko: kamień poruszył się z miejsca, kamień poruszył się... Nie ja myślałam, coś myślało za mnie. Ja żyłam. Już nic nie bolało. Kamień poruszył się z miejsca.

W świetle wolno jadącego po wybojach samochodu, zobaczyłam stado słupkujących zajęcy. pięć sztuk i szósty, nieco z tyłu, na wpół schowany w cieniu padającym z gałęzi świerka.

- Zajęce ruszyły z miejsca – śpiewałam na melodię piosenki pracowników sąsiada – dziki ruszyły z miejsca, sarny ruszyły z miejsca, kamienie ruszyły z miejsca... - Przerwałam, bo sąsiad przerwał swoją piosenkę i zaczął przysłuchiwać się mojej.

- Zajęce stoją w miejscu, kamienie stoją w miejscu, dzików i saren nie widać – śpiewał parafrazując mnie i jakąś arię.

- Zobaczymy to jutro rano, jutro, juuutrooo – zakończyłam elegancką wokalizą.

Do knajpy zajechaliśmy bez problemów. Po stylu jazdy nie domyśliłabym się, że Kaj cokolwiek wypił, jechał wolno i ostrożnie, ale nie nadmiernie. Rozmawialiśmy o ostatnich, zimowych wypadkach drogowych. Do sołtysa na sylwestra zajechali goście i w nocy odjechali. Potem okazało się, że samochód stanął w lesie i wszyscy, łącznie z dziećmi zamarзли. Rano jechał mlekowóz i nie otwierając samochodu, wziął go na hol i dojechał na gminny rynek. Tam zajechała karetka z powiatu. Kierowca twierdził, że wiedział, co jest, bo na szybach był mróz, a nie para, ale uważał, że może coś się da jeszcze zrobić i dlatego przyholował nieboszczyków.

Jeden z gospodarzy jechał przez most kolejowy i zawały się luźne blachy między szynami. Koń, wóz i gospodarz wpadli do rzeki. Przeżył tylko koń, który jakoś wyswobodził się z wozu i dopłynął do brzegu, ale z nieznanых powodów i tak trzeba było go ubić.

Jeden gospodarz, nazywany Psią Mordą, wyszedł przed świętami z więzienia i zabrał go z dobrego serca pewien Waluś, co zaopatrywał sklep na krzyżówce w Boćkach. Ten z więzienia skorzystał z okazji i ukraść z wozu dużą szynkę. Potem, w Wigilię przyszedł do tegoż sklepu w Boćkach i chciał tę szynkę sprzedać za pół ceny, ale właścicielka powiedziała, że tym razem mu nie daruje i zadzwoniła po policję. Policja przyjechała, zgarnęła delikwenta, załadowała do poloneza i powiozła do powiatu. Niestety, nie dojechali tam, był już półmrok i na drogę wyskoczyły trzy dziki. Do posterunku policji i latarni przed nim, pierwszej latarni w mieście, było zaledwie dwieście metrów.

Jeden z tych wypadków wydawał się tak nieprawdopodobny, że wypytywałam Kaja bez końca o wszystkie szczegóły. Tuż przed Bożym Narodzeniem w pobliskim, likwidowanym właśnie ośrodku wczasowym, urządzono wyprzedaż mebli, wyposażenia i urządzeń. Z całej okolicy zjechali się ludzie furmankami i ciągnikami, ponieważ ceny były bardzo atrakcyjne. Podobno lodówkę czy zamrażarkę można było kupić już za pięćdziesiąt złotych, ławki ogrodowe po pięć, a koce i pościel po złotówce. Niektórzy z działkowiczów także przyjechali na tę okazję, a wśród nich pan Tadzio, emerytowany kadrowy ośrodka i członek komisji przeceny. Pan Tadzio pożyczył od kogoś starą nysę, zaprosił do towarzystwa dwóch kumpli: jednego właściciela nysy, drugiego, kolegę z pracy, któremu żona przykazała kupić sześć poszew i cztery poszewki, a jak się da, dwie poduszki. Pan Tadzio zamierzał kupić tylko słup oświetleniowy i ławki ogrodowe, ponieważ w snach swoich widział, jako niezbędną część wypoczynkową działki, ognisko otoczone kamieniami polnymi, słup z latarnią, żeby było widać, co się je i pije, oraz krąg ławek, najlepiej, jak obliczył, sześciu.

Panowie udali się na wyprzedaż. Pan Tadzio zakupił wprawdzie tylko cztery ławki (w tym dwie z połamanymi deskami) ale za to aż dwa słupy oświetleniowe i sokowirówkę, z której, jak miał nadzieję, ucieszy się żona. Kierowca też coś kupił, kolega nabył tylko cztery powłoki ale za to aż dwadzieścia prześcieradeł i miał nadzieję, że żona to wszystko pozszywa, uzyskując w ten sposób dwie brakujące powłoki i powłoczki na poduszki. Co do poduszek, nie udało mu się, ale kierowca kupił pierzynę i obiecał, że na pewno z tego wyjdą dwie poduszki dla niego i dwie poduszki dla pana Franka. Poza tym kupili trochę naczyń kuchennych, jakieś solniczki i pieprzniczki oraz pojemniki dozujące na keczup i musztardę, z których byli niesłychanie dumni, jako że na działkach te produkty, używane jako dodatek do kiełbasy pieczonej na kijkach, należą do produktów pierwszej potrzeby i dozowanie ich jest wskazane, z uwagi na niepotrzebnie nadmierne zużycie, przez niezbyt trzeźwych gości.

Panowie załadowali dobytek na nyskę i kierowca pojechał odwiedzić zdobycz na działkę, gdzie miał czekać na kolegów. Dwóch panów ruszyło na piechotę: właściciel działki i jego kolega, nie mający pojęcia, gdzie ona się znajduje, bowiem zajechał nysą prosto na wyprzedaż. Żeby im się nie nudziło po drodze, w kieszeń załadowali flaszkę i tak po miło skrzypiącym śniegu ruszyli do domu. Po drodze spotkali innych znajomych działkowiczów, także z flaszeczkami w kieszeni i szło się im bardzo sympatycznie i wesoło. Opowiadano sobie o wszystkich ciekawych zdarzeniach, związanych z wyprzedażą, wyliczano kto, co, i za ile kupił, kto zrobił dobry interes, a kto połaszczył się na kocie gównu. Podobno jeden kupił dwadzieścia materacy, bo postanowił, że na górcie swojego domu zrobi legowisko dla wszystkich gości, którzy mu się nawiną, ale materace są zasikane i zarzygane tak, że prawdopodobnie nie da się ich wysmrodzić i nie będzie z nich żadnego pożytku.

W domu czekał ich nocleg, wyzerka i wypitka wódki, przyrządzonej z ruskiego spirytusu, który sąsiad kupował od znajomych maszynistów, zanim ten proceder im się, dzięki dzielnym celnikom, urwał, ale mimo to po drodze zaszli



jeszcze do jednego kumpla. Skład owej wycieczki stale się zmieniał i dopiero, gdy wrócili do domu na działce, okazało się, że jednego kolegi, tego przywiezionego nyską, brakuje. Pomyśleli, że poszedł nocować do ośrodka, a przynajmniej potem tak opowiadali. Człowiek ten był pierwszy raz w tej okolicy, więc wątpliwe, żeby gdziekolwiek po nocy trafił, jednak nikogo to nie obchodziło. Towarzystwo poszło spać, a tymczasem ów nieszczęśnik został w tyle, a to dlatego, że po drodze złamał nogę w jakimś wykrocie. Była zima, śnieg i mróz, więc facet, w strachu iż zemrze, zaczął czołgać się, aż doczołgał się do pierwszej po drodze chałupy. Gdyby nieco zboczył, trafiłby do gospodarstwa sołtysa, które było nieco bliżej, on jednak poczołgał się prosto, do chałupy pewnej samotnej kobiety. W jej oknach świeciło się, jednak furka była zamknięta, chłopina więc ostatek sił przewinał się przez drewniany płotek i doczołgał pod dom. Tam dobijał się do owej kobiety, ale ona nie zamierzała mu otworzyć. W końcu wybił szybę na werandce, ale i tak mu to nic nie pomogło, bowiem od mieszkania dzieliły go jeszcze jedne zamknięte drzwi. Jednak skaleczony w rękę szkłem, złamany bólem i wyziębiony, zemdlął i spokojnie, nie wadząc nikomu, zapadł w nieświadomość. Owa kobieta jednak, nadal bała się otworzyć drzwi, w przekonaniu, iż włamywacz tylko udaje zemdlonego, żeby nastawać na jej życie i dobytek. Nie obejrzawszy więc nawet delikwenta, wymknęła się oknem z tyłu domu i pobiegła do sołtysa, który miał jedyny we wsi radiotelefon. Sołtys zadzwonił po policję w mieście powiatowymi i dzielna policja przebyła 43 kilometry, aby ująć napastnika i włamywacza, czyhającego na życie, zdrowie i majątek samotnej starszej kobiety. Mimo, że jechali na sygnale, nie zastanowiło ich, dlaczego włamywacz nie ocknął się i nie uciekł na ich widok, i na wszelki wypadek spuścili mu łomot, żeby mu się odechciało na przyszłość ganiań policji taki świat drogi. Potem dopiero zauważyli kałużę krwi z przeciętych rąk delikwenta, więc podwiązali mu żyłę jego własnym krawatem i zawieźli do szpitala. Nie jest pewne, czy zauważyli złamaną nogę, ponieważ wisiała mu tylko na skórze. Bilans obrażeń owego pechowca był na

tylko poważny, że został inwalidą na całe życie, choć upierał się, że przed odnalezieniem go przez milicję, miał jedynie złamaną nogę i skaleczoną rękę, ale co tam taki pijak może pamiętać! W każdym razie, gdy go przywieziono, miał dodatkowo rozwaloną czaszkę oraz obrażenia wewnętrzne, jakiś krwotok z wątroby, rozerwany pęcherz i tym podobne. Nie bardzo wiadano, czy przeżyje, ale ponieważ we krwi miał znaczną ilość alkoholu, rodzina zdawała sobie sprawę, że z nawet tego wypadku w delegacji (zrównanego z wypadkiem przy pracy) nie otrzyma żadnego odszkodowania. Delikwent też chyba z tego zdał sobie sprawę, albo w niebiosach zarządzono, że wystarczająco już został ukarany, bowiem ozdrowiał, a prokuratura łaskawie odstąpiła od ścigania go za włamanie i napad na samotną kobietę. Po okresie zwolnienia lekarskiego dano mu powrócić na kilka dni do pracy i potem, normalną koleją rzeczy, przeszedł na rentę inwalidzką.

Kiedy to wszystko się działo, sąsiedzi wraz z gośćmi spali spokojnie, aż policja, poszukująca świadków, dobudziła całe towarzystwo, bo odkryto na podwórku nyskę, o której bredził nieszczęśnik.

Następna przecena dobytku ośrodka wczasowego, na wiosnę, nie skończyła się już tak szczęśliwie. Nyska (już z innym kierowcą) rozbiła się doszczętnie zabijając całą kilkusobową komisję przeceny z kierowcą na czele. Prawdopodobnie zostali pokarani za to, że nie nocowali u sąsiada, tylko w ośrodku. Sam sąsiad też był bliski śmierci, gdy tej wiosny, po balandze, zasnął na ośnieżonym polu i tylko to go uratowało, że stary gospodarz, z którym pił, regularnie wieczorem wychodzący na pola dla płoszenia saren, wyżerających oziminy, (a może i dla łapania ich we wnyki), nie mógłszy spłoszyć leżącej sarny, poszedł obejrzeć swoją zdobycz i zorientował się, że jest to zamarznięty prawie sąsiad. Tak więc stary gospodarz uratował jego życie, jak poprzedniego roku wdowa, Pani Kazia, uratowała życie jego żony, pani Zosi, która po pijaku też kiedyś zasnęła w lesie.

Opowiadanie sąsiada uświadomiło mi prawdę, na którą z powodu Eboli i mojego męża nie zwróciłam uwagi. Nie przypominałam sobie żadnej historii wypadków drogowych mieszkańców wsi i działkowiczów, w której nie występowałby jako siła sprawcza, a przynajmniej dająca się za taką uznać, alkohol. Wyrwało mi się więc odruchowo:

- Wszyscy byli napici, jak wy teraz. – Moje życie, które pięć minut temu nic mnie nie obchodziło, zaczęło nagle nabierać ceny.

- Nie żartuj! Ja tylko trochę wypilem, i to jakiś czas temu; jedziemy przez las ze dwadzieścia na godzinę, w porywach do trzydziestu, nawet jakbym walnął w drzewo, to nikomu nic nie będzie. Ale i tak nie walnę, bo są koleiny i najwyżej zaryję się w piasek. Zresztą zajęce nas pilnują.

Faktycznie, gdyby mi nic nie powiedział, nie wiedziałabym, że wypił. To nie to, co mój mąż, proszący na klęczkach Ebole o wlanie mu napitku do gardła. Takie stany rozpoznaje się z łatwością i z takim kimś nie wsiadłabym do samochodu za nic. I rzeczywiście, nigdy tutaj nie widziałam aż tylu zajęcy. Całe pułki czy szwadrony, w karnych szeregach wzdłuż leśnego duktu, zamarłe w świetle terenówki. Kaję, dlaczego nie jestem jak ty, taka spostrzegawcza?

W knajpie robotnicy z sąsiadem zjedli kolację, ja wypilałam swoje duże piwo, napełniłam słoje, a ponieważ im się nie spieszyło, zamówiłam drugie piwo. Po jakimś czasie na stole znalazła się flaszka, potem druga, bo sąsiad musiał im postawić i tak w szybkim czasie wszyscy osiągnęli stan zbliżony do uczestników imprezy, z której uciekłam. Byłam wściekła, początkowo nie piłam z nimi, potem jednak się zламаłam, gdy pomyślałam, że z takimi pijanymi będę musiała wracać. Wódka łagodzi strach, a ponadto, jeśli ja wypiję, spekulowałam, to kierowca wypije mniej, będzie trzeźwiejszy, a więc może ocalę swoje życie z tej wyprawy. Niedługo jednak knajpę zamykali i musieliśmy wracać. W pewnym momencie nawet wpadłam na szaleńczy pomysł, żeby wracać sama, na piechotę, ale nie zdecydowałam się. Kiedyś, wprawdzie w dzień, gdy uciekł mi pociąg, wracałam z gminy na piechotę i doszłam cała i

zdrowa, ale byłam wówczas wypoczęta i trzeźwa. Teraz kręciło mi się w głowie, ale na moje nieszczęście (czy szczęście) rozsądek nie chciał mnie opuścić.

Wsiedliśmy do samochodu, ale Kaj nie zapalił go od razu. Intensywnie nad czymś myślał, w końcu zaproponował:

- Może ty pojedziesz, jesteś trzeźwiejsza?

- Nigdy w życiu, w głowie mi się kręci! Nie mam prawa jazdy.

- Żartujesz! Kto ma dzisiaj wóz, a nie ma prawka? Trzeba było kupić, jeśli ci się nie chciało zdawać!

Co miałam mu tłumaczyć, że dla męża samochód był równie ważny jak pilot przy telewizorze – nikomu, pod żadnym pozorem, nawet na łożu śmierci by go nie oddał. A nie jeździł po wódce, więc prawo jazdy dla żony, to tylko niepotrzebne koszty i zawracanie głowy. Kto rządzi, ten jeździ, ten decyduje, ten wybiera programy – taki był nasz małżeński model. Dopiero od niedawna połapałam się, że ten schemat życia nie dotyczy wszystkich rodzin, ale jeszcze nie umiałam skorzystać z tego spostrzeżenia.

- Jakoś się nie składało... - skłamałam.

- Jeździsz na rowerze?

- Oczywiście!

- No więc kierownicą tak samo się kręci. Tylko masz oddzielny pedał na hamulec. Zaraz ci pokażę. Zapalę i będziesz jechała sama, jak na rowerze.

- A biegi?

- Co się martwisz? Ja ci przestawię. Zresztą będziesz jechała tylko na jednym.

- Ale mnie się w głowie kręci!

- Ale mnie bardziej.

Jasne, miał rację. Ja wypłam dwa piwa i dwa kieliszki, a ile oni? Ci z tyłu już chrapali, tylko sąsiad się trzymał, a pewnie trzymały się resztki jego rozsądku.

- Może prześpimy się w samochodzie – zaproponowałam nieśmiało.

- Gdzie? Tutaj? Na środku rynku? I tak musimy wyjechać stąd. A jak już ruszymy, to zobaczysz, samo pójdzie. To tylko osiemnaście kilometrów!

Przekonał mnie. Jakoś ruszyliśmy (ruszyłam) i momentalnie zrobiłam się trzeźwa. W głowie przestało mi się kręcić, kółka toczyły się powoli, ale stanowczo, pasażerowie z tyłu chrapali sprawiając, że rosło moje poczucie odpowiedzialności za ich zdrowie i życie. Sąsiad zaczynał też drzemać ściskając w objęciach moje słoje z piwem. Obudzę go, jak zbliżymy się do zjazdu w las, tam on będzie jechał, a właściwie za niego będą jechały koleiny, kierownica stanie się zupełnie zbędna. Nie ja będę musiała ze skrętu trafić w przejazd przez rów. A może wszyscy prześpiemy się i ruszymy dopiero, gdy sąsiad przetrzeźwieje?

Tymczasem niebo, początkowo roziskrzone gwiazdami, zasnuło się niewidocznymi pasmami chmur i na ziemię zaczynały zstępować długie smugi mgły. To było dziwne zjawisko, nigdzie indziej go nie spotkałam. Może po prostu nigdzie nie przebywałam tak często na powietrzu nocą i w porze przedświt, żeby go zaobserwować. Na działce często biegało się do wygodki w środku nocy i te pionowe smugi mgły powodowały, że następnego ranka zaczynałam suszyć mężowi głowę, żeby zamiast tego czy tamtego, przyspieszył budowę łazienki i kibelka. Strach, który mnie ogarniał w ich obliczu, wart był chyba trochę wysiłku i wydatków. Nie muszą od razu być kafelki!

Pojawiła się mżawka, także pasami. Pas mgły i mżawki, pas od nich wolny. Na szosie widać było to wyraźnie: kilka metrów suchej jezdni, kilka mokrej. Czysty obłąd.

Nagle z przeciwka coś mignęło mi w światłach samochodu. Zrobiłam dwie rzeczy na raz: jedną głupią, jedną mądrą. Tą mądrą było to, że zahamowałam, tą głupią, że zgasiałam światła. Nie pytajcie mnie, dlaczego to zrobiłam, po ciemku mam kłopoty z oczami, i widać odruchowo zrobiłam z samochodem to, co robię, gdy wszystko zaczyna mi się rozmazywać. Zamykam

oczy, a potem je otwieram. Zamknęłam światła, a potem chciałam je z powrotem włączyć. Niestety, nie dały się.

Hamowanie było dość gwałtowne, więc wszyscy obudzili się. Wyskoczyłam z samochodu i pobiegłam do przodu zobaczyć, co to było. Trafiłam akurat w pasmo mgły, więc nie zauważyłam nic, ale potknęłam się o coś dużego i miękkiego i przewróciłam. Za chwilę pojawił się przy mnie sąsiad z latarką. W jego świetle zobaczyłam leżące na szosie ciało dużego, krępego człowieka w jasnych spodniach i białej, przybrudzonej koszulce. Musiałam zachowywać się jak wariatka, bo ocknęłam się przytrzymywana przez sąsiada, uspokajającego mnie jak umiał.

- Nie przejechałaś go, co znowu, leży przecież ze dwa metry przed samochodem. – jego głos docierał do mnie jak przez głuszącą wszystko warstwę, ale dotarł. – Jeśli ktoś na niego najechał, to nie ty!

-Widziałam, coś mi mignęło w światłach, coś dużego, ale to nie było białe! To nie był on! – nie wiem dlaczego uznałam, że muszę się z nim o coś kłócić.

-Rozejrzyjmy się – powątpiewająco zgodził się Kajetan. – Tylko sprawdzę, co mu jest. Poświecisz mi? – Wydawał się zupełnie trzeźwy, więc z nawyku podporządkowałam się, chociaż nadal bałam się patrzeć na leżącego.

Kajetan przewrócił go na wznak, ale nigdzie nie widać było krwi ani obrażeń.

- Może napity jest i zasnął?

- Tak na środku jezdni?

- Zmogła go mżawka, albo mgła zdezorientowała, bo ja wiem co?

- Oddycha?

- Chyba tak. Weźmy go za ręce i pociągniemy na pobocze.

- I tak go zostawimy?

- Przynajmniej nikt na niego już nie najedzie. Ciepło jest, nie zmarznie.

- Może lepiej weźmy go? Może się zmieści z tyłu, z twoimi pracownikami?

- A damy radę go tam wepchnąć? Posadźmy go najpierw.

- Mieliśmy się rozejrzeć.

Dwa kroki w przód, w świetle latarki, na poboczu zobaczyłam coś, co zmroziło mnie. Stado zajęcy, ale nie stojących słupkiem, ale leżących pokotem. Światło latarki Kaja wydobywało coraz nowe zwierzęta, koty, psy, jeże, a nawet węże. Ciekawe, że wszystkie, poza człowiekiem, rozciągniętym na środku jezdni, leżały na trawiastym poboczu. Jakby ktoś, kto spowodował tę hekatombę chciał uchronić ciała zwierząt przed rozjechaniem, a w stosunku do człowieka już nie miał takich zamiarów.

- Widziałaś coś takiego? – Po raz pierwszy obserwowałam Kaja wyprowadzonego z równowagi.

- Zapal światła samochodu – wyszeptałam, jakby głośne mówienie zaburzało spokój tego cmentarza.

Niestety, nie dało się. Silnik też nie chciał zapalić. Zepchnęliśmy więc samochód na pobocze, żeby ktoś się w niego nie władował, pociągnęliśmy ciało nieznanego także na trawę, w cień samochodu, w towarzystwo rodziny zajęcy i dwóch jeży, które odsunęłam nogą na bok i usiedliśmy nieco dalej, w lesie za rowem. Trzęsłam się ze strachu i z zimna, więc Kaj objął mnie i przytulił, a ja przytuliłam swój słoik piwa i tak oczekiwaliśmy świtu.

#### **4. Smugi**

Nie wiem, co mnie obudziło. Dookoła panowała cisza, powietrze miało konsystencję nieudanego ciasta, ciężkiego i nie chcącego rosnąć; i choć zimne, poprzecinane było pasmami mgły. Niebo w prześwicie szosy zaczęło się rozjaśniać, a żółty piasek na poboczach przypominał płachty brudnego śniegu. Zmieniłam niewygodną pozycję i wysunęłam się z objęć Kaja.

Martwe zające z pobocza zniknęły, inne zwierzęta właśnie odpełzały, niemrawo, sennie i ociężale. Tylko człowiek leżał jak przedtem. Miałam nadzieję, że on też się obudzi.

Nie wiem, co skłoniło mnie do spojrzenia w górę. Nie zapomnę nigdy tego widoku, choć dziś usilnie wierzę, że był tylko snem.

W stężącej ciszy, po niebie nad szosą, przesuwał się dziwaczny pojazd - czy jak można tę rzecz nazwać. Wyglądał trochę jak parostatek ze starych filmów: wielka, płaska platforma, wypełniona różnymi przybudówkami z ogromnym kołem napędowym z boku. Szczegółów na powierzchni tego niby- statku nie dało się dostrzec, przede wszystkim z powodu perspektywy: obiekt sunął nisko nad szosą, znacznie poniżej czubków najwyższych sosen, prawie nad moją głową. Na skraju platformy poruszały się jakieś sylwetki, niekształtne, ale nie z powodu mgły, która zalegała poniżej. Postaci te zajęte były wykonywaniem skomplikowanych czynności, ich ruchy były odmierzone, pewne. Wpatrując się dokładniej zauważyłam, że koło z boku platformy bynajmniej nie było kołem napędowym, choć takie robiło wrażenie. Na jego obwodzie znajdowały się miejsca, skąd wytryskiwały zadziwiająco równe smugi mgły, a sylwetki poruszające kołem, przyspieszające i zwalniające jego obrót, czasem zatrzymujące go nawet, sterowały w ten sposób pasmami. Czasami, z nieznanых powodów, posługiwały się czymś, jakby ręcznymi urządzeniami, wytwarzającymi takie smugi, ale wówczas nie były one proste, a przypominały skręcone spiralnie loki. Jako leworęczna, natychmiast zauważyłam lewoskrętność tych loków. Wszystkie czynności przebiegały w niesłychanej, głębokiej ciszy, jakby ktoś przedtem, bez mojej wiedzy, zaopatrzył mnie w zatyczki do uszu.

Platforma przesunęła się nad szosą i naszym samochodem, po czym majestatycznie i bezgłośnie odpłynęła. Z przerażeniem zauważyłam, że nieco wyżej płynęła następna i jeszcze następna. Wszystkie były różne, miały niepodobne do siebie kształty, nie posiadały bocznych kół, a na ich



powierzchniach widoczne były słabe rozbłyski białego światła, przypominające nieco fotograficzne flesze. Szczegóły powierzchni platform było mi jeszcze trudniej dostrzec, za to ich spody, doskonale widoczne, były ciemne, gładkie i pozbawione wystających części. Było ich dziesiątki, przemieszczające się w stłumionej mgłą ciszy, rozbłyskujące tylko czasami i rozświetlające w ten sposób przestrzeń wokół nich. Światło to jednak nie docierało do szosy.

Przerażenie spowodowało, że chwyciłam za ramię Kaja, ale on też już nie spał i zapewne widział to samo, co ja.

W pierwszej chwili byłam pewna, że to sen, ale teraz, gdy platformy odpływały już, a pod ręką czułam rękaw kurtki Kaja, przestałam się nad tym zastanawiać. Wiedziałam, że po prostu były.

- Opryskują czymś teren – powiedziałam cicho, ale Kaj i tak zatkał mi usta.

- Ciii...

- Już odpłynęli. Popatrz nie ma, też już zwierząt. Wcale nie były martwe. Pousypiali je tylko, żeby nie wlażyły na teren oprysku. Uśpili i ułożyli na poboczu, żeby nie przeszkadzały.

- To znaczy opryskiwali też las. Nie tylko samą szosę.

- Niekoniecznie. Właściwie... - Staliśmy tam i rozmawialiśmy jak o całkiem zwyczajnej rzeczy, podobnie jak rozmawialiśmy ubiegłego roku z sąsiadami, gdy opylano okolicę przeciwko brudnicy mniszce. Tylko, że wtedy u wylotu każdej drogi wisiały ogłoszenia z podanym terminem oprysku i informacją, że zakazuje się wstępu do lasu w określonym dniu, zbierania jagód, grzybów i poziomek jeszcze przez dwa tygodnie. O świcie nad okolicą przeleciał samolot, budząc wszystkich na działkach, a syn sąsiadki, który wysiadł z porannego pociągu i aby dojść do działek, musiał przejść lasem i albo zlekceważył, albo nie dostrzegł ostrzeżeń, chorował potem kilka dni.

Teraz wydawało nam się, że rozmawiając o wydarzeniach w sposób podobny, jak zeszłego lata mówiliśmy o opryskach, oswoimy jakoś te dziwaczne i niezrozumiałe obserwacje.

Poczułam, że boję się zostać choćby chwilę dłużej.

- Kaj, idę już do domu!

- Nie mogę iść z tobą. Poczekam, aż moi ludzie się obudzą i pchniemy samochód. Jeśli się nie da, to pójdzie któryś do wsi po ciągnik. No i może trzeba będzie, tego tam, gdzieś odstawić. Mam nadzieję, że tylko spał, jak te zające. Jeśli nie, to gorsza sprawa. Zejdzie się z policją i tak dalej. Lepiej idź, bo może nam to zająć sporo czasu. I uważaj na siebie. Smugi już zniknęły, ale pamiętaj, że Paweł w zeszłym roku odchorował spacer przez las. Nie odkręcaj słoika, nie pij piwa po drodze i nie pal papierosa. Staraj się oddychać nosem, może przez jakąś chusteczkę... Diabli wiedzą, czym spryskali okolicę. – mówił jakby platformy przepływające nad szosą w zupełnej ciszy i wypuszczające smugi mgły były czymś równie oczywistym, jak samolot, który zeszłego roku z hukiem przeleciał nad lasem i działkami, wypuszczając zawieszoną w powietrzu zawieszynę owadobójczego.

Przebiegłam drogę dzielącą mnie od domu w tak krótkim czasie, jak nigdy. W głowie kotłowało mi się tysiące hipotez, ale kiedy znalazłam się naprzeciwko naszej furtki, byłam pewna, że nadmiar alkoholu, stres i pomieszanie trunków wywołało na pograniczu snu tę wizję. Przypomniałam sobie scenę z filmu, gdzie lądujący „latający talerz” okazał się nadszpiewanie ogromny i widz, siedzący w fotelu oraz bohaterowie, oczekujący na lądowisku, musieli odnieść wrażenie, że wielki kształt, przesuwany się powoli w całkowitej ciszy, za chwilę dociśnie ich do ziemi. To była taka sama perspektywa. Przypomniał mi się inny film, gdzie statek, płynący we mgle, zalegającej brzegi rzeki, wijącej się pośród dżungli, widoczny był jako zamazany kształt z wielkim kołem z boku. Przyszły mi na myśl wreszcie opowieści mojej siostry, o flotyli statków powietrznych obcych cywilizacji,

pojawiających się w jej najbardziej uporczywych snach, a ponieważ jest z zawodu inżynierem automatykiem, jej rozważania o rodzaju napędu i sterowania nimi, pełne były realizmu i fachowych informacji, podobnie zresztą jak jej sny. Byłam już pewna, że to wszystko przyśniło mi się. Kto wie, czy w ogóle rozmawiałam z Kajem, czy przypadkiem nie wysunęłam się po prostu z jego objęć, zabierając swój słój piwa i nie poszłam sobie drogą, której koleiny każdego mogły prowadzić w ciemno do domu. Byłam tego już zupełnie pewna. Realnie i na trzeźwo patrząc, cała wczorajsza impreza, Jola-Ebola, moja wyprawa z pijanym sąsiadem do knajpy – wszystko było jak nieprawdopodobny sen pijanej, sfrustrowanej, starzejącej się i zazdrosnej żony.

Zajrzałam do męża, spał jak zabity, przelałam piwo ze słoja do butelek i wstawiłam je do lodówki, umyłam słój i wyniosłam go na powietrze, przewracając do góry dnem, i wiejskim zwyczajem, osadzając na sztachecie płotu. Stojąc przy płocie, wpatrzona we wschodzące słońce przypominałam sobie opowieść pani Kazi o dziwnej maszynie rolniczej, parkującej w nocy na jej podwórku i niepokój ponownie powrócił, a pewność osłabła.

Przewiesiłam słój ze swego płotu na płot Kaja, żeby, gdy wróci, wiedział, że nic po drodze mi się nie stało, przebrałam się, zabrałam koszyk na jajka, portmonetkę z drobnymi i ruszyłam w stronę zagrody pani Kazi. Zawsze lubiła porozmawiać, a ja nigdy nie miałam dla niej zbyt wiele czasu, spieszyłam się zrobić mężowi jajecznicę ze świeżych jajek na śniadanie, jednak dzisiaj nawet cały poranek poświęcę pani Kazi, wysłucham wszystkich jej opowieści i będę prowokować nowe dopóty, dopóki nie zrozumiem. A śniadanie niech mężowi robi Ebola!

## **5. Krew w pudełku od butów**

Stała przed bramą gospodarstwa w czarnych, przekrzywionych pantoflach na słupku, szarych od zapyłonej drogi. Spuchnięte, grube nogi w fildekosowych

pończochach karykaturalnie odcinały się od chudej sylwetki w brązowej sukience, nieudolnie przefarbowanej domowym sposobem na czarno (kostka farby zawiniętej w świecowany papierek, miednica wrzątku, flaszka octu, kij do mieszania).Spod chustki wymykały się siwe kosmyki...

A może wyglądała inaczej. Może była tuż przed czterdziestką, w kapelusiku, ładna jeszcze, mimo zaczerwienionych od płaczu oczu i zmęczonej cery. Może niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę w oczekiwaniu, aż ktoś podejdzie do furtki. Bała się wejść, bo ujadały i wyrywały się dwa psy na łańcuchach. Może nie miała grubych nóg i szczupłej sylwetki, ale na pewno miała zakurzone buty. Tutejsza ziemia to piach.

Szła od wsi zapyloną drogą pełną zakrętów, nazywanych sześćdziesiąt lat później „agrafką”, gdzie ginęli okoliczni mieszkańcy i działkowicze wracający po pijaku z baru do domu. Weszła z trudem na wzgórze i zeszła z niego, doszła do wsi. Przy krzyżu zboczyła na polną drogę wiodącą przez las, minęła jej odnogę, prowadzącą nad rzekę i do domu obecnego sołtysa, i poszła dalej, aż do ostatniego gospodarstwa. Tam właśnie stała oczekując, aż ktoś wyjdzie do niej do furtki. Psy szarpały się na swoich łańcuchach. Takie były i po to były.

Zapewne wiedziała, co się stało, bo nie pytała gospodyni o nic, poza tym, czy dobrze idzie do nasypu kolejowego i do mostu. W chwilę później zawróciła i poprosiła o niepotrzebne pudełko. Gospodyni miała tylko karton po butach i dała go tej kobiecie. Czy ktoś mógł wówczas wiedzieć, że jej zamysł przeciągnie się na całą epokę? Tyle lat?

W opowieści pani Kazi było to tak: W zimie 1946/1947 w okolicy wsi działali ludzie nazywani „partyzantami”. Słowo to, pani Kazia. wymawiała z pewnym przekąsem, bowiem tak naprawdę była to banda walcząca przeciwko wszystkim, którzy akurat się nawinęli, rabująca takie dobra jak: cukier, mąka i rozmaite inne zdobycze, a przy okazji załatwiająca swoje porachunki.

Tej zimy na moście kolejowym owi partyzanci zatrzymali ruski pociąg towarowy i pozabijali wszystkich Rosjan. Pociąg stał tam jakiś czas, a na nasyp

jeździły furmanki z całej wsi (wówczas znacznie liczniejszej niż dziś) i wywoziły cukier z rozbitych wagonów. Niektóre worki splamione były krwią, ale to wieśniakom nie przeszkadzało. Pewna młoda dziewczyna, koleżanka z potańcówek pani Kazi, także wówczas jeszcze panienka, chwaliła się, że tak *nasłodziła* ciasto, że trudno było go zjeść.

Dziewczyna ta miała narzeczonego partyzanta. Schronienie swoje partyzanci znaleźli na zarośniętej chaszczami wyspie na rzece, skąd dokonywali wypadów i gdzie trzymali łupy z napadów. Na wyspę tę pływały do nich łódkami ich dziewczyny i dlatego mówiono, że one także dostarczały swoim mężczyznom informacji o ruchach wojska i transportów, a także dostawach do punktów sprzedaży, na które to transporty później napadano. Mówiło się także, że niektórzy rolnicy, a zwłaszcza ojciec tej dziewczyny (podobno ten przewoźnik od topienia uciekających przez granicę na Bugu Żydów), bardzo ściśle z partyzantami współpracował. Za to po wojnie on i jego córka, siedzieli jakiś czas w więzieniu i zwolnieni zostali z amnestii. Oboje już nie żyją, ale ich wina przetrwała w opowieściach. I ich pocałunki, dostrzeżone przez kogoś, będące dowodem dla UB, że miejscowa ludność współpracowała z bandytami.

Wracając do zimy 1946/47, to partyzanci wówczas urządzili jeszcze jeden napad, tym razem na polskie wojsko. Zatrzymali pociąg jak zwykle, na moście, zabiwszy przedtem strażników, młodych chłopców – inwalidów wojennych, pełniących, jako rekonwalescenci, lekką służbę. Żołnierzy chroniących pociąg oraz kolejarzy usadzili rządkiem pod budką strażników i w czasie rabunku trzymali ich pod strażą. Ograbiwszy pociąg z czego się dało, pociągnęli serią „na postrach” nad ich głowami. Należy się im za to uznanie, bowiem mogli ich, jak czynili z ruskimi, ochraniającymi pociągi, wszystkich pozabijać, ale tego nie zrobili. Jednak w tym momencie porucznik, młody chłopak, który przeżył wojnę i był kilkakrotnie ranny, poderwał się i seria przeszła mu piersi i brzuch.

Na to właśnie miejsce przyjechała jego matka i zbierała do kartonu po butach piasek i żwir z nasypu, poplamiony jego krwią, aż do spodu, nie

prześlągniętego nią. Mówiła pani Kazi, że nie chce, aby choć odrobina jego krwi została na tym przeklętym miejscu.

- Niemądra kobieta – wzruszała ramionami pani Kazia – myślała, że całą złą ziemię może zebrać do jednego pudełka od butów! Żadna koparka by do tego nie wystarczyła! I silos na kiszonkę byłby za mały!

Tam właśnie, idąc wzdłuż nasypu, od pociągu na działki, przechodząc obok tej zrujnowanej starej budki strażników, zbieraliśmy grzyby, przepiękne koźlarze czerwone i brązowe, a gdzieś tam trafił się i borowik zwany prawdziwkim. Możliwe, że nic nie wiedząc o tym, zerwałam grzyb z miejsca, gdzie zginął ów chłopak. Może w tym była moja wina. Może powinnam wcześniej o tym wiedzieć. Może wszystko przez to, że ta ziemia jest przeklęta?

Po tym zabójstwie zaczęto gorliwiej tropić partyzantów. Narzeczony dziewczyny od *nastodzonego ciasta* podobno popełnił samobójstwo, lub może został zamordowany przez kompanów, ponieważ przebąkiwał o chęci ujawnienia się, w każdym razie utopił się albo został utopiony, a jego ciało rzeka wyrzuciła na brzeg kilka kilometrów dalej. Drugi, jego współnik, zgłosił się korzystając z amnestii ogłoszonej na 22 lipca, jednak z jakiegoś powodu dostał aż 12 lat i nie przeżył więzienia. Siedzieli także inni gospodarze. W tym samym czasie innemu gospodarzowi rozbierano dom od dachu aż po fundament.

Kiedy pozbyto się w taki czy inny sposób wszystkich partyzantów Urząd Bezpieczeństwa namiętnie zaczął poszukiwać jego współników we wsi. Pierwsze podejrzenia padły na rodzinę Wackich, o których powszechnie było wiadomo, że w czasie wojny współpracowali z partyzantką (za co pan Wacki otrzymał po wojnie order). Funkcjonariusze wychodzili z założenia, że jeśli ktoś miał kiedyś coś wspólnego z partyzantką, to zapewne nadal wspiera z przyzwyczajenia wszystkich walczących z kimkolwiek i o cokolwiek. Jednak pan Wacki nie był człowiekiem, którego można było aresztować, zamknąć i przesłuchiwać do woli, ponieważ nie tylko, że cieszył się dobrą opinią, ale i miał ważnych obrońców.

Pewnego listopadowego ranka przyjechała ekipa śledczych i rozpoczęli przesłuchania. Nikomu nie wolno było zbliżać się do obejścia Wackich, choć mieszkańcy całej wsi ukradkiem zerkali z bezpiecznej odległości. Pozornie nic się tam nie działo, z komina dymiło się, zwierzęta były dojrane i dostawały paszę, czasem można było dostrzec Wackiego lub jego żonę przechodzących przez podwórko. Nie wyglądali na pobitych ani maltretowanych, jednak śledczy nie wyjeżdżali.

Po dwóch czy trzech dniach pogoda zmieniła się. Zaczął siąpić deszcz, a potem deszcz ze śniegiem. Wtedy właśnie robotnicy pracujący na moście z wysokości nasypu spostrzegli wśród koron drzew, że w obejściu Wackiego dzieje się coś niedobrego. Zawołali inżyniera, aby to sam zobaczył.

Śledczy zaczęli rozbierać Wackim dom. Zaczęli od dachu, ale już tego samego dnia z powodu deszczu lejącego się na odkryte domostwo, cały dobytek Wackich zamókł i nie nadawał się do niczego. Ponieważ Wacki ani na jotę nie zmieniał swoich zeznań, rozbiórka posuwała się dalej.

Zawsze widoczny z nasypu dach domu Wackich zniknął w morzu sosen. Jeszcze tylko z przęsła mostu zobaczyć można było do połowy wysokości rozebrany dom, potem i on zniknął.

Kilka dni trwało zanim rozebrali do gruntu wszystkie budynki Wackiego, jednak nie osiągnąwszy swego celu, i tak zmuszeni byli odjechać. Dziś starzy Waccy mieszkają w rachitycznym domku, zbudowanym na wzór działkowych altanek, a fundamenty rozebranego domu, położonego nieco wyżej niż reszta obejścia porosły chwastami. Ich wnuki i wnuczki z miasta karczują je każdego lata, przywołując pamięć tamtych lat, może nawet i wbrew rodzicom. Sądzą, że stawiają im pomnik i może mają rację.

Moje myśli znowu kołują, jak czasem nocami. W internecie dolina rzeki to piękne widoki, ostoja przyrody, rzadkich gatunków. Czy powinno się to złudzenie burzyć? Jaki sens mają takie rozważania, gdy niebo widoczne zza okien jest o wiele bardziej ciemne niż w mieście, choć jaśniejsze od wszystkiego

dookoła. Leżąc w łóżku, widzę słupy podpierające ganek, biegnący dookoła domu i stertę opałowego drewna. Moje serce bije problemom, które na co dzień (także i mnie) nikogo nie obchodzą:

Jaszczurka wpadła do pustego basenu, dzieci sąsiadów wyciągnęły ją i włożyły do słoika. A potem ich dziki wrzask, kiedy ich ojciec wyszedł przed dom. Co zrobił jaszczurce?

Ptaszek utopił się w beczce stojącej pod rynną, w suszy pragnął się napić, zaryzykował i zginął. Czy mogłam go uratować kładąc na ziemi starą patelnię z wodą? Teraz o tym zawsze pamiętam.

Jaki strach zwycięży w ciężarnej kocicy, strach przed ruską piłą łańcuchową, czy przed odwiecznym wrogiem – psem. Co wybierze jako wroga, a kogo, czy co, uzna za przyjaciela?

Na kogo spadnie krążący sęp? Na złachmanioną przez kocicę mysz, czy na jakieś inne zwierzę? Może na nornicę, która złapała się w pułapkę na myszy i wyrzucona została na śmietnik? A może na ślepego kociaka, poturbowanego przez niesforne dziecko? A może na kreta, który wpadł do wykopu pod basen?

Dlaczego zając wraz z całą rodziną robi słupka przed pędzącym samochodem? Wszystkie pryskają w jedną stronę, a potem na powrót, na środek drogi, po to by zrobić „słupka”. Co to oznacza? Atak, obronę, pogodzenie się z losem? Czy ja, przypadkiem, nie biorę z nich przykładu?

Co zrobi gil, uwięziony w stercie wełny mineralnej? Ucieknie, czy zaszyje się w głębi kłującej rzeczywistości?

Co uczyni kolonia szerszeni w gnieździe uwitym pod blaszanym dachem, gdy kupionym na ruskim targu dezodorantem gubimy jej dzieci? Czy skończy się trzaskaniu oszołomionych szerszenich dzieci w rozpalonym ognisku, w takt pisków i śmiechów ludzkich dzieci? Czy może zginą ciszej i mniej efektownie, w gnieździe, bez blasku płomieni i smug dymu, nie strasząc nikogo i nie zostawiając po sobie śladu?



Jednak ja przypuszczam, że grzech osadza się strachem w rdzeniach drzew, korzeniach krzaków i traw, w przydrożnych kamieniach, wydostaje się z głębi ziemi wraz z grzybnią i owocnikami, a psy, koty, tupiące na chodniku jeże i zaskrońce, czające się pod podłogą szopy na drewno, karmione lękiem z pokolenia na pokolenie, nocami przychodzą pod moje okno, nie dając mi spać. Szerszenie i osy budują swoje gniazda na występie dachu nad moją głową, bo, jak mówi pani Kazia, zwabiają je błakające się duchy tutaj pomordowanych. To zło wypełza z ziemi, wraz ze snującymi się mgłami i jemu należy przypisać wszystkie krzywdy, które tu się poczęły, w których żyli i żyją tutejsi ludzie oraz ci, którzy choćby na trochę tu się zatrzymują.

## **6. Epidemia wypadków we wsi Smrodliwe**

Denerwowałam się. Kaj ani jego robotnicy nie wrócili, choć było już wczesne niedzielne popołudnie. Mogło w tym nie być nic dziwnego, robotnicy na kacu doszli do wniosku, że robotę skończą kiedy indziej, a Kaj odwiózł ich do domu, do pobliskiego miasteczka. Sam mógł dojść do przekonania, że w tej sytuacji nie ma po co wracać na działkę. Może być, że samochód mu nie odpalił i musiał znaleźć kogoś, kto go odholuje do warsztatu? A potem poszedł do knajpy? Może to, może tamto. A jednak byłam niespokojna.

Pamiętałam, prawie czułam jeszcze obejmujące mnie ramiona, złudne bezpieczeństwo i spokój, i słój piwa w moich objęciach. Miałam nadzieję, że Kaj nie będzie szkiełkiem stłuczonego lusterka w moim oku. Kto poniewczasie wie, co powinien robić? I kobieta z balastem doświadczeń?

Niespokojna, postanowiłam dowiedzieć się czegoś od osoby zazwyczaj najlepiej poinformowanej, to jest od sołtysa. Zabrałam z domu wezwanie do opłacenia podatku, pieniądze, koszyk na jajka, które czasem można było kupić u jego żony i powędrowałam zapyłoną drogą. Oczy kleiły mi się z chęci snu. piekły powieki, ale niepokój nie pozwalał mi usiedzieć spokojnie w domu.

W połowie drogi minęły mnie trzy samochody straży pożarnej pędzące na sygnale gruntową drogą, o ile tę jazdę po wybojach można nazwać pędem. Za strażą posuwała się kolumna maluchów i innych gratów oraz z tyłu, w karnym szeregu, samochody działkowiczów. Mimo lepszych wozów mieli gorszy refleks i z kościoła miejscowi wypadli pierwsi sprawdzić, co się pali, zanim na ten sam pomysł wpadli działkowicze, Po drodze szereg topniał, odpadali zeń ci, którzy dojechawszy do swojego siedliska, stwierdzili, że to nie u ich wybuchł ten pożar i odpuścili sobie dalszą pogoń.

Ponieważ przejechali interesujący mnie odcinek nie zatrzymując się, a poza tym jechali w przeciwnym kierunku, niż znajdowało się miejsce naszego z Kajem nocnego postoju, zwalczyłam pokusę pójścia w tym kierunku, gdzie jechali i poszłam do sołtysa.

- Ruch tu dzisiaj jak na Marszałkowskiej w Warszawie – zagałam.- Od rana tylko jakieś syreny i syreny.- Trochę skłamałam, bo rano żadnych syren nie słyszałam. Ale mogło mi się zdawać.

- Taki okropny wypadek w nocy był – odpowiedział sołtys, rozglądając się za kwitariuszem wpłat. Kiedyś płaciłam przelewem z konta, ale ktoś powiedział mi, że dostaje on prowizję od każdej wpłaty i że nasza wieś jest mała i uboga, należy więc wspierać sołtysa, jak się da i płacić mu gotówką. I zawsze jest okazja, żeby pogadać.

- Co się stało?

- Ten pani sąsiad, Kajetan, i trzech robotników... Koło budki dróżnika rozjechali kogoś, przekoziółkowali kilka razy w las i zatrzymali się aż w mrowisku. Ten jego samochód, terenówka, nie powinien tak koziółkować... Trudno zrozumieć jak to się stało.

Zmartwiałam. Chciałam spytać, czy żyją i co się im stało, ale tylko coś za mnie zapytało:

- Jak to, koło budki dróżnika? Budka jest przy torach, tam szosy nie ma, przecież nie jechali po torach, jak drezyna?

- Kiedyś tory biegły inaczej, za mostem ostro skręcały i maszyniści nie mieli dobrego widoku. W końcu majątek dziedzica rozparcelowali, kolej kupiła ziemię, a gdy remontowano most w czterdziestym ósmym, zniwelowano zakręt, tory przesunięto i budka znalazła się przy drodze.

- Nie widziałam nigdy żadnej budki przy drodze!

- Zbutwiała ze szczętem, a mrówki usypały tam swoje mrowisko. Zrobiło się takie wielkie, że je leśnicy ogrodzili. Aż niedawno mrówki je opuściły. Sam leśniczy chodził i pytał, czy nie widzieliśmy kogoś albo czegoś, co mogło im zaszkodzić. Podobno było największe w województwie. I w to mrowisko wpadł samochód pana Kajetana.

Więc nie tam zbierałam grzyby, gdzie matka zbierała krew syna do pudełka po butach. Jeden wyrzut sumienia mniej. Ta przy torach, to była nowa, inna budka, choć też już opuszczona i zrujnowana. Ale nie TA! Wreszcie wyjąkałam pytanie o Kaja i jego robotników.

- Jeden martwy na miejscu, podobno już go lisy trochę napoczęły. A pani sąsiad i dwóch innych, trudno powiedzieć. Byli nieprzytomni, jak ich zabierali. Ten przejechany też nie żyje. Wieczorem przyjedzie policjant po ogórki na kwaszenie, to wszystko będę wiedział. A jak nie, to jutro jeździ listonosz, on też zawsze dużo wie.

Siedziałam w milczeniu, bo co tu mówić. Sołtys jednak zrozumiał to opacznie:

- Proszę się nie przejmować tym pożarem! Jechali za tory, dobrze nasłuchiwałem, tam już inna wioska. Może las się palił, a może ktoś trawy wypalał? Na pewno nie u nas na działkach w każdym razie.

Podziękowałam sołtysowi, zapłaciłam podatek i jego żonie za jajka i powlokłam się z powrotem. Trzeba będzie się zbierać się do powrotu, albo wieczorem, albo wczesnym rankiem, żeby zdążyć do pracy. Może mąż już odespał balangę, a może jeszcze nie, w każdym razie ja musiałam być gotowa. Jak każda żona na działkach.

Od torów wracała pani Kazia, zbierając po drodze dziurawiec i białą „kaszkę mannę” – nie wiem jaka była prawdziwa nazwa tego zioła. Przygięta do ziemi, ale żwawa, z tymi niesamowitymi, jasnymi oczami i prawie białą, jak one, chustką zawiązaną, jak dawniej na tych, i bardziej na wschód położonych wsiach, osłaniającą czoło. Czasami przysięgłabym, że jej źrenice są nie okrągłe, a owalne, i zwężone, jak u kota. Źrenice, które widziały nie takie dramaty, jakie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Nawet grając w internetowe gry.

Przysiadłam obok niej w rowie i słuchałam wykładu, jak wykorzystać zioła, kiedy zbierać je i jak jedna pani, aż z Warszawy, zamawia u niej zioła opatrzone zaklęciem i jak przyjeżdża do niej handlarz, aż z Niemiec. Moje myśli krążyły jednak stale wokół Kaja i jego wypadku. Nagle usłyszałam coś, co spowodowało, że aż podskoczyłam.

- Jak zobaczyłam ten traktor, to wiedziałam od razu, że coś się stanie! A tu aż dwa wypadki, a jeśli wziąć pod uwagę i konkubinę blacharza, to trzy... I przedtem tak były moje psy, najpierw Bury, a potem Jasionek, jak jeden przestawał, to drugi zaczynał, choć nikt nie szedł drogą.

- Jaki traktor? – nie wiedziałam o co pytać najpierw, o maszynę czy wypadki. I skąd tak szybko o wszystkim wiedziała?

- No, ta maszyna niby tam. Tylko tym razem nie stała u mnie na podwórku, a na skraju pola Zdzisia, tam pod lasem. I to była chyba inna maszyna, niż wtedy.

- Nie bała się pani wychodzić nocą na pole? – pamiętałam jak opowiadała, że w nocy nic nie widzi i nie słyszy, bo chce żyć, a jest starą samotną kobietą i łatwo się komuś narazić, jak się nie ma obrońcy.

- Błyskało się, robili coś przy tej maszynie, może spawali czy co? Mam umowę z policjantami; jak tylko zobaczę, że gdzieś w lesie palą ognisko, mam dzwonić i oni przyjadą, nawet w nocy. Jakby co, to i straż sami wezwą. Więc musiałam wyjść. Jakby nie, to następnym razem coś by mi się stało, a oni by na złość nie przyjechali. Do złodziei bym nie wyszła, ale do ogniska muszę. Ale ta

maszyna jakaś dziwna była, miała jedno wielkie koło z boku i tubę, którą wypuszczali parę. Więc wróciłam do domu, ale rano jej już nie było.

- Co za wypadki, o których pani mówiła? – od dwóch dni rozmawiając z kimkolwiek zadawałam nie takie pytania, jakie chciałam, ale niezależnie od zadawanych pytań, otrzymane odpowiedzi pogłębiały tylko mój lęk.

- Ano jeden to z tą, co podpaliła swoją stodołę. Straż niedawno jechała, ale wracali inną drogą, po tamtej stronie torów. Basiakowa starsza. Są u nich dwie siostry, młodsza chciała sprzedać stodołę po rodzicach. Dobre belki w niej jeszcze były, tacy jedni działkowicze chcieli ją kupić i na dom przerobić. Nawet chcieli dać zadatek. Starsza za nic w świecie. Młodsza ma dzieci i wnuki, więc pieniądze jej potrzebne, starsza samotna, to jej wszystko jedno, tyle potrzebuje, co a wódkę, ale i na to i z renty starczy. I tak nie mogły się pogodzić. No i ta starsza podpaliła. Jak straż przyjechała, to biła się z uciechy po udach, śmiejąc się w głos, jak te świstaki, co w telewizorze zawijały coś w te sreberka. Zawieźli ją do czubków, a tam bez wódki długo nie wyżyje. Szkoda kobiety, za młodu taka była ładna, kawalerów miała, że hej, ale ojciec, jak szedł na odsiadkę za partyzantów, znalazł jej swojego kumpla, żeby ziemia się nie zmarnowała, no i zmarnowała się kobieta. Siostrze poszło lepiej, mąż był lepszy no i żyli lepiej, sama go wybrała, dzieci ma dobre, do rany przyłoż, studia pokończyli, więc Basiakowa tamtej zazdrościła i wiecznie się kłóciły. Kiedyś nawet ta starsza pobiła tę młodszą. Tamta przyjechała po jabłka z sadu, chciała robić marmoladę, a ta jej nie dała. Więc kiedy ktoś w nocy wyrąbał z sadu połowę jabłonek Basiakowa mówiła, że to siostra zapłaciła za to takiemu jednemu...

- A ten drugi wypadek? - trudno mi było wysłuchiwać tej rozwlekłej opowieści, gdzie wszystko mieszało się z wszystkim, a tak mało miałam już czasu, więc przerwałam jej. Odpowiedziała szybko, jak zwykle:

- Wczoraj Marylka, konkubina blacharza, skakała przez płot, bo ją ganiał z siekierą. W jej własnym domu! Potem wyła przez godzinę z bólu, bo połamała nogi, a on nikomu nie dał podejść, nawet jak pogotowie przyjechało, nie

wpuścił, stanął obok z siekierą i pilnował. I chciał bić tego, co komórką ich wezwał, męża tej pani kumpelki, co pisze wiersze. W końcu policjanci go namówili, żeby siekierę oddał, a kobietę zabrali do szpitala. Jego chyba do aresztu. A może do czubków? Bo podobno na odwyku był. A wie pani o co jemu poszło? Szła od pociągu z jedną taką, co ją Cukrunią nazywają, podobno koleżanki są ze szkoły. A blacharza żona, nieboszczka, z tamtą miała na pieńku i blacharz uważał, że konkubina, to znaczy Marylka, nie miała prawa z nią rozmawiać. A ona może i nie wiedziała, że jej tego nie wolno, młoda kobita, nawet tamtej żony, nieboszczki nie znała. Nie stąd pochodzi, to może i nie wiedziała, kto to taki Cukrunia?

- A kto?

- Mieszka raz tu, raz tam, wszystkie wsie w okolicy zwiedziła. Niby pomaga w gospodarce, a chłopcy mówią, że jest słodka między nogami.

- I trzeci pana Kajetana wypadek?

- Pana Kajetana? Nie wiedziałam. Ale się porobiło! Mówili, że przejechali syna Psiej Mordy. To pan Kaj go przejechał? W zeszłym roku ojciec, w tym syn! To będzie już cztery wypadki! Takie życie... Równie smrodliwe, jak nasza wieś!

Nie chciałam prostować liczby wypadków, bo przecież byli tam i robotnicy Kaja, czy liczyć każdego osobno? Na chwilę odwróciłam uwagę, myśląc o tak niedawno ciepłych ramionach Kaja, a ona ciągnęła dalej:

- ... Rwę rdest ptasi na pani trawniku, zawsze rwę i kury jedzą, a wczoraj nie chciały. Znowu nagromadziło się zło, kury to czują, jedzą wtedy tylko suchy chleb i ziarno, nie chcą dziobać ziela na podwórku i żółtka mają jasne, a nie takie czerwone jak państwo lubicie...

Pomachałam jej ręką i powlokłam się do domu. Resztę dnia zajęły mi czynności gospodarskie. Sąsiadki już pozmywały naczynia, a panowie rozpalili grilla, oddając się przy moim piwku agresywnej, obezwładniającej normalnych ludzi krytyce polityków, ich mizernego wzrostu i nadmuchanych bicepsów,

niedogolonych policzków, jęczących wypowiedzi, zgniecionych garniturków, pokręconej psychiki i licznych fobii, więc chwilowo nie byłam potrzebna. Mąż zadecydował, że jedziemy rano, bladym świtem, ale nie miałam siły mu się sprzeciwić, zabrałam się więc za pakowanie. Torby z brudnymi rzeczami trzeba zanieść do samochodu, zmienić pościel, umyć lodówkę i podłogi, nanieść drewna do kuchni, wytrzeć chodniczki, zrobić porządki, przetrzeć szyby w samochodzie. Tak, żeby jutro tylko wstać i jechać. Spoglądałam na płot Kaja, gdzie suszył się mój słój, ale nie zabrałam go. Gdy się wyleczy i wróci, ten słój może mu przypomni mnie i naszą wycieczkę po piwo. Którego nawet nie posmakowałam, bo panowie wypili go przy wieczornym grillu. W każdej chwili swego życia podejmujesz decyzje, których słuszności nigdy nie będziesz pewna. Kaju, który miałeś odprysk lodu w oku... „Szkło bolesne, okruch dni...”

Postanowiłam też zrobić porządek z Ebołą. Powiedziałam jej:

– Przyjeżdżamy w przyszły piątek, do tego czasu ma ciebie tu nie być. – musiałam jej jakoś odpłacić za mój ból i poniżenie.

Ebola płakała:

– Mama mnie zabije jak się dowie, że pani mnie wygoniła.

- Twoje zmartwienie, nie moje – dodałam ze złośliwą satysfakcją. (jak mawiał mój mąż, gdy zwierzałam mu się z lęku przed zajściem w kolejną ciążę).

– I nie zapomnijcie pozbierać po sobie śmieci. Prezerwatyw zwłaszcza. Klucze od domu zostaw sąsiadce, pani Ewie, ona sprawdzi, czy wszystko po sobie posprzątałaś.

Ebola nieszczercze szlochała, ale byłam bezlitosna. Nie ze mną te numery kochaniutka! Felczerka była naiwna i ci uwierzyła, tutaj ja byłam ostatnią, która dała się nabrać. I niech tak zostanie. Nienawidziłam jej w tej chwili tak, jakby ona była winna wszystkim problemom, które przeżywałam i które nie należą do tej historii, więc o których nie wspominałam w tej opowieści. I w dodatku sąsiadki widziały moje upokorzenie!

Drogą za płotem spacerowała rodzina, której nie znałam. Pewnie przyjechali do kogoś. Maluch, może pięć, sześć lat, złościł się:

- Nienawidzę babci, jak dorosnę, to ją zakatrupię!

Mamusia próbowała tłumaczyć:

- Pan Jezus widzi twoje złe myśli i zasmuci się, że są na świecie takie niedobre dzieci! Przecież uczysz się religii w przedszkolu? - potem coś jeszcze płątała o szacunku dla starszych i nadstawianiu policzka.

-Pan Jezus? – wściekał się malec. - To tylko jeden z klonów pana Boga! I w dodatku miał tylko dwa życia. Tak mówiła pani katecheta, że umarł i zmartwychwstał. Jeden raz! Tylko jeden raz.

Tata nie wytrzymał i przyłał smarkaczowi, a jego rodzice zaczęli się kłócić. Wiadomo, czyja była wina. Twoja matka...

A ja mówiłam w myślach: MRÓWKI WCZEŚNIEJ WIEDZIAŁY i dlatego uciekały z trawnika. Do domu pchały się na oślepie... Czy to te mrówki, które uciekły z kopca – pomnika przyrody na całe województwo? Czy nie przyszły do mnie?

\*\*\*

Niebo poszarzało na wschodzie, ale wokół domu było jeszcze ciemno, włączyłam więc całe oświetlenie zewnętrzne. Przygotowałam śniadanie, pozmywałam, przebrałam się w kostium i wyprasowaną wczoraj jedwabną bluzkę, usta pociągnęłam szminką. Zeszłam do piwnicy, gdzie czerwonym przyciskiem wyłączyłam hydrofor i zgodnie ze schematem wyrysowanym na zawieszce, pozakręcałam kolejne zawory odcinające wodę, doprowadzoną do poszczególnych części ogrodu i domu. Ebola będzie korzystała z rezerwowej studni i pompy na granicy działki naszej i sąsiadów i wygodki w rogu działki, pod wielkim dębem, więc woda z wodociągu nie jest jej potrzebna. Wsypałam torebkę bakterii do sanitariatów; w czasie naszej nieobecności będą pracowały nad utylizacją ścieków w szambie. Zastłoniłam wszystkie okna i wypstrykałam korki na tablicy pod licznikiem prądu. Otworzyłam bramę, aby mąż mógł



wyjechać i zamknęłam za nim drzwi od wewnątrz, ponieważ po ostatnich deszczach drzwi wypaczyły się nieco i zamek od zewnątrz nie zamykał się (choć można było go otwierać). Przeszłam przez ciemne i ciche mieszkanie i przyświecając sobie latarką sprawdziłam, czy niczego nie zostawiliśmy, po czym wyszłam drugimi drzwiami, od ogrodu, zamykając je starannie. Zapasowy klucz włożyłam do rękawicy w grillu. Obeszłam dookoła dom sprawdzając, czy wszystkie schowki i pomieszczenia gospodarcze są zamknięte, aż wreszcie zamknęłam bramę i furtkę. Zimna rosa przyciemniła moje miejskie pantofle, ale starannie wypastowane, po drodze wyschną. Wsiadłam do samochodu i ruszyliśmy w noc. O dziesiątej rano czekało mnie spotkanie z ważnym klientem mojej firmy, w myślach więc porządkowałam argumenty, których miałam użyć w rozmowie i poszukiwałam kolejnych. Szef cenił mój intelekt i nie chciałam, żeby zmienił zdanie.

Nie zdążyłam się przestraszyć. Kątem oka, przez boczną szybę z prawej strony, spostrzegłam wielki kawał jasnej blachy, mknący ku mnie, niczym skrzydło samolotu; uniosłam się w powietrze, lecąc do przodu, ku szarej ścianie lasu. Nie poczułam żadnego uderzenia, szarpnięcia pasów, strachu, bólu, niczego. Nie pomyślałam też o niczym.

Ale właśnie wtedy nadeszła dla mnie nowa epoka. Już na długo życie utraciło swój kolor i smak, żadna z rzeczy, które przedtem pociągały mnie lub interesowały, nie wydała się godna zatrzymania na niej spojrzenia. Świat z otoczenia przeniósł się do mojego wnętrza, zredukował do kilku prostych odruchów z najsilniejszym na czele – lękiem. Po raz pierwszy wsłuchiwałam się w moje ciało i mój umysł, ale to, co tam znajdowałam, nie przynosiło ulgi. Strzępki brudnych tkanin, nieokreślonego koloru i kształtu, śmiecie wywiewane z pustych, niezamieszkałych przestrzeni, skaleczenia i rany, zaskorupiałe zadry, brud i ubóstwo. Błądziłam po tym wszystkim gruba, brzydka, samotna i bezradna, zanurzona we wszechobecnym smrodzie świeżo malowanej ściany,

przy której mnie położono w kącie szpitalnej sali. Z mojego miejsca nie mogłam dostrzec krajobrazu za oknem, po prostu go tam nie było. Gdyby jednak nawet istniał, i tak nic nie było w stanie wzbudzić we mnie otuchy. Powoli zapominałam o tym, co znaczy: poruszać się w przestrzeni. I już wszystko odtąd było inaczej. Poza słojem, który zapewne moknął na płocie w jesiennych deszczach. Przywołany w myślach kotwiczył mnie w rzeczywistości. Był ważniejszy od księdza i Boga, wołał moim głosem w nadziei na odzew...

*Nie istnieje wieś, opisana jako Smrodliwe, i nie istnieją jej nieszczęśni mieszkańcy. Podobieństwa bohaterów do osób rzeczywistych są czysto przypadkowe. Opisy wypadków zaczerpnęłam z prasy lokalnej całego kraju oraz z doświadczenia własnego. Byłam kiedyś likwidatorem szkód komunikacyjnych.*